MICHAŁ ODROWĄŻ.

MICHAŁ ODROWĄŻ

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASU OSWOBODZENIA WIEDNIA

PRZEZ

JANA III.

napisał

ROMAN ŁASKOWSKI,

Biada, o biada sierocie,
Ona dla ludzi kamieniem.
Bo ludzie marzą o złocie,
I są z sprzedajném sumieniem.

A.

TOM I.

WARSZAWA,
Nakładem J. BRESLAURA Księgarza,
przy Ulicy Śto-Jerskiéj Nr: 1,771.

1857.

WOLNO DRUKOWAĆ

Z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawém przepisanéj liczby exemplarzy.

Warszawa dnia $\frac{5}{17}$ Listopada 1856 *r.*

St. Cen. F. SOBIESZCZAŃSKI.

W Drukarni S. NOWAKOWSKIEGO.

I.

WKOMNACIE pąsowym adamaszkiem obitéj siedział w dużym z poręczami krześle, nie pierwszéj młodości mężczyzna. Przed nim na stole tureckim kobiercem pokrytym, leżało mnóstwo rozruconych papierów, a dwie woskowe świece w dużych srebrnych lichtarzach osadzone, rzucały mdławe do koła światło, bo już od kwadransa zapomniano je objaśnić.

Poważna niczem nie przerywana panowała tu cisza, i tylko głośny takt wahadła stalowego zegaru powtarzał swoje jednotonne tyk... tak...

Na ścianach wiśiało mnóstwo broni śiecznéj i palnéj rozmaitych narodów, a nawet łuki

i strzały dzikich Jndijan były pomiędzy niemi; klingi pałaszy, rękojeści jataganów i kindziałów, świećiły rażącym połyskiem drogich kamieni, które z całą sztuką misternie osadzone, robiły miły pociąg dla oka.

Bo też w owych rycerskich czasach, gdy sam Król polski pierwszym był bohatyrem w Europie, wszyscy panowie przesadzali się na to, aby mieć kosztowną broń i wojenne rynsztunki, które za główne ozdoby poczytywali sobie. Dla tego przepych w tem, nawet do zbytku był posuwany, tak iż niekiedy ogromne na to wykładano summy.

Męzczyzna śiedzący w téj komnacie, miał przeszło pięddziesiąt lat wieku, lecz z powierzchowności, zaledwo na czterdzieści wyglądał. Twarz ściągła, nos greckiego składu, pod którym kruczym połyskiem świeciły starannie umuskane wąsy, charakterystycznie odbijały od profilu wysokiego czoła. Dwoje ciemnych ocz szeroką czarną brwią ocienionych, rżucały jakimś nie zwykłym blaskiem,

a wnich dopatrzeć było można różne namiętne żądze, jakie na dnie duszy spoczywały. Cała zaś majestatyczna postawa, średnia tusza ciała, i czerstwość malująca się na policzkach, oznaczały męża, pełnego zdrowia i energii.

Był to Andrzéj Morsztyn wielki podskarbi, jeszcze za nieszczęśliwych rządów Korybuta na ten urząd wyniesiony, a dziś osobisty nieprzyjaciel Sobieskiego, i jego żony Maryi Kaźimiry.

Oddychał on ku nim ciągłą nienawiścią, do najwyższego stopnia posunioną, tak dalece, ze wszelkiemi sposobami chciał usunąć ich od tronu, na którym według jego przekonania, komu innemu zaśiąść należało.

W téj chwili, Morsztyn toczył przeważną walkę z swojemi myślami; bo jak z jednéj strony marzył, o przyszłém swém wyniesieniu się, tak z drugiéj widział wiszącą nad głową wielką burzę, i surową zemstę Króla dotknąć go mogącą.

Jednakże wielki podskarbi nie upadał na duchu, i teraz właśnie pewniejszy był swojego tryumfu, bo odebrana w dniu dzisiejszym tajemna korespondencya z wersalskiego dworu, kazała mu spodziewać się na pewno pomyślnego skutku. Dla tego téż, obok dumy malującéj się na wyniosłém czole Morsztyna, widno było, jak z oczu migały mu dwie błyskawice, które dostatecznie malowały, jakanie pohamowana spoczywała w nim zemsta.

— Teraz ze szczytu potęgi z trącę Sobieskiego (mówił w myśli do siebie, przeglądając na nowo list tajemnemi cyframi skreślony), a dumna jego Marya Kazimira, dopiero w tenczas ujrzy swoją niskość, gdy pozbawioną będzie korony. O! poźna ale już za późno jak niebezpieczno jest rozdraźnić lwa, który ma za sobą siłę, i ostre pazury. Wysokie jéj marzenia znikną jak bańki na wodzie, a ten którego swą niełaską postanowiła ścigać, odpłaci się w zajemnie i to

z lichwą jeszcze! Że hrabiemu Maligny odmówiłém ręki méj córki, miałem do tego słuszne powody, bo nienawidzę Sobieską, równie jak nienawidzę całego jéj rodu.

Ona swojemi intrygami zniszczyła całe moje nadzieje, podstępem wydarła koronę którą ja miałem rozrządzić, a zatém podstęp, za podstęp! Dochodzi już godzina zemsty, godzina mojego tryumfu, a jéj poniżenia.

Ta co wydarła mi skarby prześladowanych Aryanów, nieomal już w mojem posiadaniu będące, sama ściągnęła na śiebie nienawiść, którą ja od lat dziewięciu żywię w méj duszy, aby potém z całą zemstą wybuchnąć!

Sobieska i Jezuici są dwoma ostatecznościami dla mnie, a ich poniżenie będzie wywyższeniem mojem.

Ci układni księża zgotowali grób dla Arjanów, a Sobieskiemu otworzyli drogę do najwyższego na ziemi dóstojeństwa, ale ja wszystkich

razem w zupełną nicość pogrążę. Pomszczę się śmierci Stanisława Lubienieckiego, zadanéj mu skrytą ręką w Hamburgu. *

Tak z samym sobą rozmawiał w myśli wielki podskarbi; jego twarz raz niezwykłym rumieńcem, to znów bladością powleczona, świadczyła o wewnętrznéj walce a razem niewczesnéj dumie, jaka zagnieździła się w tak burzliwym umyśle.

Lekkie zakołatanie we drzwi do komnaty prowadzące, zbudziło Morsztyna z tego sam na sam dumania; kilka listów przed nim na stole leżących ukrył pod kobierzec, i odwróciwszy głowę zapytał się: kto tam?

— Ja jestém..... odezwał się cienki głos w francuzkiem języku, a podskarbi szybko podniósł się z krzesła, i z otwartemi rękami pobiegł na przeciw wchodzącego gościa.

---

* Stanisław Lubieniecki jeden z najgłówniejszych Aryanów, w skutku zadanéj obcą ręką trucizny umarł 18 Maja 1675 r. w Hamburgu, a ciało jego pochowane w Altonie.

Nowo przybyly był dosyć słusznego wzrostu, szczupły, ściągłych rysów twarzy, ciemnych włosów, a czarne połyskliwe, uśmiechające się oczy zdradzały jego żywy temperament, który malował się w każdem poruszeniu. Zaraz z pierwszego rzutu, można było poznać w nim układnego dworaka Ludwika czternastego, a pełna uprzejmość z jaką witał go podskarbi, przekonywała: że do wysokiego stopnia pragnął pozyskać jego względy.

— Kochany mój podskarbi (pierwszy przemówił margrabia de Vitri z wymuszoną nieco przesadą) przyszedłem donieść ci, że w téj chwili nader ważne otrzymałém wiadomości, wpływać mogące wiele na nasze widoki, i dla tego musiemy w spólnie naradzić się, aby działać szybko, stanowczo.

— Słucham cię margrabio..... odrzekł nieco pomięszany Morsztyn.

— Oto wojska otomańskie ciągną już pod Wiedeń i w krótce opanują całą Austryą, która w żadnym razie nie potrafi oprzeć się tak przemagającéj sile. Sobieski ujęty różnemi obietnicami Cesarza Leopolda, już podobno dał się uwieść przyrzekając swą pomoc, a na sejmie zwołanym teraz głównie starać się zamierza, aby rzecz pospolita nie sprzeciwiała się temu. Plany te dotąd głęboką tajemnicą są pokryte, jednakże ja nie mylną mam wiadomość, iż tak jest a nie inaczéj, i dla tego teraz podwoić trzeba starań, dla uzyskania śilnéj opozycyi w senacie. Jeżeli zaś pomimo tego, Król chciałby trwać w swém postanowieniu, w takiem wypadku należy usunąć go z tronu, na którym kto inny sprzyjający naszym zamiarom zasiąść potrafi.

Zdumiał się podskarbi na tę mowę jednym tchem wymówioną, a po chwili namysłu, odrzekł do przebiegłego francuza.

— Przecież większa połowa Senatu pójdzie za mojem zdaniem, a ja nie dozwolę by nieść czynną pomoc Austryi. Wiesz dobrze margrabio, że oddany jestém duszą i ciałém, dla wersalskiego dworu, bo mam to wewnętrzne przekonanie, iż jedynie stósunki z Francyą, przynieść mogą rzeczy pospolitéj prawdziwą korzyść.

— Wiem kochany podskarbi o twoim poswięceniu się na wierne usługi mojego monarchy, który potrafi ocenić je, i nie zostawi nigdy bez nagrody; ale teraz w naglących okolicznościach, potrzeba koniecznie zapewnić sobie silną partyą, przeciw któréj wola Sobieskiego upaść powinna. Dla tego ja ułożyłém plan, mogący nam być najlepszém środkiem do dopięcia pożądanego celu, z właszcza: że postanowiłém samą Królowę z czynnym udziałém pozyskać na naszą stronę.

— Maryą Kazimirę?.... z niedowierzaniem zapytał się podskarbi.

— Tak, ją samą..... odrzekł margrabia, wpatrując się uważnie w zmienioną twarz Morsztyna.

— Na Boga, przecież ona jest główną nieprzyjaciółką moją, gotowa by mnie w jednéj chwili potępić, gdyby to mogło od niéj zalezeć, i gdyby choć jaki wątek podejrzeń miała przeciw méj osobie.

— Bąć spokojnym przyjacielu (: mówił daléj Vitry z zupełną pewnością:) mój plan tak zręcznie jest ułożony, że Marya Kazimira duszą i ciałem popierać będzie naszą stronę, a jéj poparcie, stanie się najsilniejszym bodźcem, i posłuży nam, że pod tą zasłoną wykonamy wszystko, co wykonać zamierzamy sobie.

— Zaprawdę nie mogę jeszcze pojąć cię mój margrabio, bo chyba nie znasz dobrze przewrotności téj kobiéty, jeżeli do mnie co podobnego mówić możesz.

— Właśnie że znam ją dokładnie, dla tego powziąłém myśl śmiałą, a zarazem szczęśliwą, która niezawodnie się uda, i zaraz odkryję ci wszystko.

Podskarbi przenikliwie spojrzał w oczy francuzowi, a nie mogąc nic przewrotnego wyczytać, odrzekł z pewnem niedowierzeniem.

— Słucham cię margrabio, ale zawczasu uprzedzam, iż nie tak łatwo potrafisz mnie przekonać, bo jak nie nawidzę Jezuitów i nic im nie wierzę, tak témbardziéj Sobieskiéj, która obok chytrości tamtych, posiada jeszcze do najwyższego stopnia przenikliwość; a że umie dokładnie prowadzić intrygi, okazała to najjawniéj, gdy potrafiła zyskać koronę komu innemu należną.

— Otóż właśnie te wszystkie wady Maryi Kazimiry posłużą na naszą korzyść, bo użyjemy ją za narzędzie wykonawcze, a my potém zrobiemy wszystko podłóg naszéj woli.

Wszak nie tajno ci kochany podskarbi (: mówił daléj Vitry zniżając głos:) że Sobieska jedynie w pływem księcia Wojewody ruskiego, dziś kandydata wielkiéj koronnéj buławy, wyniosła swojego małżonka na tron, komu innemu zapewniony.

Wiadomo także nam obudwom, jakie między księciem Wojewodą a teraźniejszą królową zachodziły i dotąd zachodzą tajemne stosunki, których w dobréj wierze nie widzi, lub może nie chce domyślać się Sobieski.

Jego wiek podeszły, ociężałość z zbytecznéj otyłości i choroba podagry, zatarły w pamięci Maryi Kazimiry, ową dawniéj urodę celującą nad innych, dla tego téż ona milszem okiem patrzy na owdowiałego teraz Jabłonowskiego, który, już dawno potrafił jéj serce zniewolić dla siebie. Książe Stanisław, urodą swoją dziś jeszcze zagasić może młodszego wiekiem od siebie, a jego obejście się pełne dworskiéj i młodzieńczéj rześ-

kości, mógłoby nie jednéj piękności zawrócić głowę.

A co, czy zgadujesz już mój plan, z rozwagą pomyślany?

— Jest w szakże niebezpieczny...... odrzckł dosyć, obojętnie podskarbi, bo Książe będąc najpierwszem przyjacielem Sobieskiego, wątpię czy chciał by przyjąć podobną propozycyą.

— Znam ja lepiéj księcia Wojewodę, jest prawym człowiekiem, ale: on ma słabość zbytniéj dumy która tak widocznie wasz naród od innych cechuje, i wybacz mi za szczerość, iż niejednemu stała się już przyczyną do zguby.

Morsztyn na te ostatnie słowa z marszczył pochmórno brwi i czoło, ale margrabia udając że nie rozumie tego, ciągnął daléj, nie dozwalając przerwać zaczętéj mowy.

W tak słabe miejsca człowieka koniecznie należy trafić, bo duma i chęć pięcia się wysoko więcéj przeważy jak złoto, którego Książe dosyć

w swoich szkatułach posiada. On więcéj teraz obojętnym jest dla Sobieskiego, niżeli mógł by ten przypuszczać, co widząc ich razem, sądzi z pozoru o najścislejszéj przyjaźni. Jabłonowski dzisiaj żałuje iż w pływu którego użył na korzyść cenionego przez siebie bohatera, raczy nie skierował ku swoim widokom, bo dawność rodu łatwo mogła posłużyć ku temu Ale on myślał w ówczas że Sobieski jego ramieniem wyniesiony, pójdzie zawsze slepo za tém co mu w skaże, i dopiero teraz poznał książe, jak te rachuby zawiodły. Król wiekiem, słabością i niezgodami domowemi z kołatany, teraz jedynie pragnie, aby potomstwu swemu zabezpieczyć koronę; dla tego chwyta się strony Austryi w mniemaniu: że dwór wiedeński stanie mu za najpewniejszą rękojmią. Ale gdyby wielki bohatyr większym był dyplomatą, poznał by w ten czas, iż jego rachuby są jak bańki na wodzie, które w chwili pojawu, bez powrotnie znikną. Austrya łudzi go obietnicami

bo teraz kiedy ze wszystkiemi mocarstwami zerwała przymierza, pragnie kosztem rzeczy pospolitéj, wynieść się nad innych. Widzą to wszyscy, widzi to Jabłonowski, i dla tego, zniechęciły go rządy Jana trzeciego.

— Nie przeczę, słuszne są rozumowania, ale jakże wykonać bez obawy ściągnięcia na siebie wielkiéj odpowiedzialności, a może i surowéj kary?

— Tu są pomysły..... dotykając palcem czoła odrzekł przebiegły Ludwika czternastego poseł. Ja wszystko wskażę, ułatwię, a od ciebie mój podskarbi tego tylko żądam, abyś pozyskał głosy senatorów. Wszak jest tylu ku Sobieskiemu nie chętnych, których liczbę sama Marya Kazimira pomnaża swą przedajnością; ona właściwie rozdaje wszystkie urzęda a kto nie złoży haraczu do jéj szkatuły, ten nigdzie nie potrafi nic zrobić.

Są więc powody, idzie tylko o opór, srodki, a te łatwiéj znajdziemy, gdy tylko z wszelką prze-

zornością weźmiemy się pilnie do dzieła. Wiesz przecie dobrze jakie nie zgody domowe zakłócają stadło królewskie, i że sam Sobieski nic przedsiewziąść nie może, na co jego małżonka nie da pozwolenia.

Letru i Federba dwie powiernic Maryi Kazimiry, będą aż nadto dostatecznemi dla nas działaczami, że przez nie wszystko dopiąć potrafiemy.

— Tak, ale są to kobiety pełne złośliwości, do najwyższego stopnia przewrotne, a w ich ręce powierzać tajemnicę, byłoby to samo, jak puścić się w wątłéj łódce na rozchukane morze.

— Zostaw to mojemu rozsądkowi kochany podskarbi, one muszą milczéć, bo ja mam aż nadto dostateczne ku temu sposoby. Sam Dajlerak sekretarz królowéj człowiek zdolny, przebiegły i czynny, będzie nam we wszystkiem pomocą, a za jego staraniem ułatwi się wiele rzeczy, które nie jeden mniéj świadomy osą-

działby za niepodobne do wykonania. Złoto mój podskarbi jest najwymowniejszym środkiem przemawiającym do serca i duszy człowieka; sama Królowa, daje ten przykład swemu dworowi, dla czegóż więc ci co niosą jéj swoje usługi, nie mają korzystać znastręczającéj się sposobności?

— Nie przeczę ci margrabio, że złoto jest talizman za pomocą którego wiele nadzwyczajnych rzeczy dokazać można, (: odrzekł z ciężkiém westchnieniem Morsztyn:) ale tu idzie najwięcéj o mnie, abym lekkomyślnie nie narażał się na słuszny gniew, zawziętych mych nieprzyjaciół.

— Co do tego, raz jeszcze powtarzam bądź spokojny mój przyjacielu; wciągnięcie Królowéj do współudziału znami, ja wyłącznie biorę na moją głowę, tak że będziesz zupełnie obcy téj dworskiéj intrydze; weź tylko senatorów na siebie, a mój plan nieomylny skutek osiągnie. A teraz (: ciągnął daléj margrabia słodziuchnym głosem ujmując rękę podskarbiego:) żegnam cię

przyjacielu, bo godziny moje są policzone; gorące zaś żelazo w tenczas kuć potrzeba, zaczem ono nie ostygnie!..

Już od kwandransa oddalił się Vitri, a jeszcze Morsztyn pasował się z swojemi myślami, niewiedząc co począć w tak trudnych okolicznościach.

To raz szybkim krokiem przechodził się po obszernéj komnacie, to znów stał zadumany przy oknie; w duszy jego wrzała śmiertelna walka, a to pasowanie się z samym sobą, widno było w całéj postawie. Niekiedy poniósł rękę do rozpalonego czoła, chcąc niejako poskromić cisnące się tam w nieładzie myśli; to znów w padał jakby w letargiczne uśpienia.

Ale zemsta, ta niepochamowanéj siły rządza, rozniecila nowy płomień w sercu Morsztyna; widział teraz uosobistnione swoje widoki, i razem otwarte pole do poniżenia nienawistnéj mu Królowéj.

— Stało się.... rozważyłém wszystko..... (: mówi w myśli do siebie wielki podskarbi:) francuz zręczny plan ułożył, trzeba śilnie chwycić się jego strony. Jeśli zaś zawiodą nadzieję, ja zawsze mogę być spokojnym o śiebie, skoro sam Vitri bez mojego wpływu, Maryą Kazimirę do téj zmowy przyciągnie.

I niezadługo potem, Morsztyn w szercką deliją okryty wyszedł ostróżnie na ulicę, żelazne drzwi zamknął na klucz za sobą, i sam jeden dążył w Stare miasto do mieszkania Kazimirza Sapiechy kandydata buławy litewskiéj, po zmarłym niedawno Michale Pacu wakującéj.

II.

NAD brzegiem Wisły stał porządny drzewniany dworzec zaledwo od dwóch lat postawiony, a właścicielém był niejaki Bertrand francuz, należący do służby dworu Maryi Kazimiry. Człowiek ten jak wielu innych jego ziomków, ciągle jedynie tym był zajęty, ażeby jakim bąć sposobém mógł pomnożyć swoję fortunę, bez względu na środki, czy one są godziwe lub przeciwnie.

Ciągła przedajność na dworze Królowéj była mu codzienną wskazówką do dalszego postępowania, a związki tajemne łączące go bliżéj z Letru służebną Królowéj, same posłużyły do pomnożenia majątku.

[illegible] wszak w [illegible] kiedy się [illegible] Przecież [illegible] od dwóch stron [illegible] wyjaśniłam się pod [illegible] czemuż mam postępować?..

— Nie pojmę tego, że [illegible] ale po co tobie [illegible] których ja [illegible] razem, ci dwaj [illegible] lub w [illegible] zbytecznie [illegible] nie inne [illegible]

— [illegible] być zupełnie [illegible] a drugi [illegible] Cesarza. [illegible] Polakom krzyże czerwonych [illegible] i jeszcze [illegible] nie [illegible] Widzisz więc, że dzisiejsza [illegible] nam [illegible]

pulchną rączką nieco pochmurzoną twarz męża:) wszak w tenczas drą łyka, kiedy się dadzą. Przecież sama Królowa jéjmość tak robi, że od dwóch stron bierze, dla czegóż ja co od dzieciństwa wykształciłam się pod jéj okiem, inaczéj mam postępować?..

— Nie ganię tego, bo to pomnaża nasz majątek, ale po co tobie zadawać się z Jezuitami których ja ciągle nienawidzę, i boje się jak ognia. Ci dwaj zamaskowani co ukryłaś ich w tajemnym gabinecie dla podsłuchiwania rozmowy, są to wcale zbyteczni dla nas goście, i oni prędzéj jak kto inny zdradzić mogą.

— O! bąć zupełnie spokojny, jeden jest moim spowiednikiem, a drugi sekretarzem austryackiego Cesarza. Przecież za tę ich ciekawość dostałam trzysta czerwonych złotych, i jeszcze dwieście mam obiecane, gdy nadal nie odmówię im moich usług. Widzisz więc że dzisiejsza noc przyniesie nam ośmset czerwonych złotych, nie

licząc tego, co w dodatku od Panny Letru dostanę. Jakże, czy nie umiem robić korzystnych spekulacyi?.

— Zobaczysz Betti że tą zbyteczną chciwością kiedykolwiek mnie i sobie zgotujesz nieszczęście, a potém jak straciemy łaskę u Królowéj, skończy się wszystko, i każdy pogardzać nami będzie.

— Oj Toms, Toms, ty zawsze dzieckiem jesteś, choć już z okładem liczysz sobie czterdzieści latek. Cóż nam to szkodzi, gdyby kiedyś ludzie pogardzali nami? kto ma złoto, wszędzie znajdzie dobry kawałek chleba; wszak i Pan Morsztyn wielki podskarbi nie uważa, co ludzie o nim mówią i co sama Królowa nawet. Wysełą on ciągle pieniądze do Francyi, kupując tam dobra, aby na wszelki wypadek, miał w nich bezpieczne schronienie. Człowiek niepowinien nigdy opuszczać żadnéj sposobności, która może przynieść mu znaczne dochody, a konia nie dla

tego stawiają przy pełnym żłobie owsa, aby przy nim zdechł zgłodu, ale żeby się upasł i pięknie wyglądał. Przecież Królowa jéjmość za elekcyi po abdykacyi Jana Kazimirza gdy jeszcze tylko była żoną wielkiego hetmana, wzięła wielki dyament od hrabiego Szawaniak za przyrzeczoną księciu Lotaryngskiemu koronę, chociaż bynajmniej niemyślała dotrzymać obietnicy, bo w tenczas gdy hrabiego przyjmowała u śiebie, poseł francuzki biskup de Besiers w tym samym pokoju ukryty był za parawaném, aby mógł podsłuchiwać całą rozmowę wówczas prowadzoną.

— Za wiele jesteś mądra nad swój wiek moja Betti, bo podobno jeśli nie myle się, dopiero dwadziescia cztery lat liczysz sobie.

— Oj ty, ty podejrzliwski, gotów byś może być zazdrosnym, bo już nawet kilka razy marszczyłeś się dawniéj o to, że pan Dajlerak sekretarz Królowéj jéjmości, zbyt często oddaje mi wizyty. A widzisz teraz jak to dobrze mieć

stosónki z sekretarzami, bo nietylko że wszystko wiedzieć można, ale robią się piękne interesa majątkowe, i nasz kapitał codziennie zwiększamy. Inaczéj zaś byłaby bieda mój Toms, nie mieszkał byś w pięknym dworcu jak jaki starosta, a przecież miléj ci patrzeć na ściany makatami i adamaszkiem obite, na srebrne naczynia, bogate sprzęty, a przytém zjeść smaczno, i codzień wypić buteleczkę dobrego węgrzyna.

— Wszystko to dobrze moja Betti, ale jednakże ty za nadto jesteś śmiałą, mięszasz się w takie rzeczy, na które mnie strach przejmuje. Sama Letru gdyby wiedziała że ją zdradzasz, nieomieszkała by pierwsza potępić cię przed Królową.

Betti uśmiechnęła się szyderczo z bojaźliwości małżonka, a po chwili pauzy, dla jego uspokojenia odpowiedziała.

— O zupełnie bądź o to spokojny, od jéj złośliwości aż nadto ubezpieczona jestém. Mam w mo-

jem ręku takie przeciw niéj dowody, które w jednéj chwili zgubić by ją mogły. Znaczna część listów pisywanych przez nią do Księcia Poliniak w Paryżu, są u mnie w oryginale zachowane, a w miejscu ich poszły kopije, w niczem nie różniące się od oryginałów. A co, jakże myślisz teraz, czy Letru jest w mojéj mocy?... Takiéj ostrożności sama Królowa Jéjmość nauczyła mnie, z nią pospołu nieraz robiłyśmy podobne kopije przejętych tajemnie listów, w niczém nie różniące się od oryginału, a tym sposobém żona wówczas wielkiego hetmana, zawsze w swojem ręku miała dowody, mogące w jednéj chwili zgubić tych, co ją zdradzić pragnęli. I sama Letru chociaż posiada tak wielkie zaufanie Królowéj, jest przecież pod tajemnym nadzorem, bo oddawna mam rozkaz śledzić jéj kroki, a każde moje doniesienie poparte dowodami, byłoby zgubą powiernicy. Bo Królowa jéjmość nikomu nie wierzy, ja więcéj od innych jestém przeko-

naną o tém. Jleż to razy odbierałam różne zlecenia aby śledzić tylko obce osoby, ale i samego jéj małżonka nawet. Widzisz więc mój Toms że w doskonałéj byłam szkole, gdzie wyuczono mnie tego wszystkiego, co tylko przebiegłéj kobiecie wiedzieć potrzeba, aby przecież jakąś rolę grać mogła na świecie. I teraz Królowa daje mi często poufne zlecenia, o których ani Letru ani Federba niewiedzą, a gdy bym je obiedwie chciała potępić, niejedną już sposobność miałam do tego. Ale ja wolę w ciągłéj zgodzie żyć zniemi, a one czując jakiem zaufaniem obdarza mnie Królowa, starają się usilnie o to, abym je przyjaźnią moją zaszczycała.

Bertrand, nad którym jego małżonka równie nieograniczoną posiadała władzę, jak Marya Kazimiera nad Janem trzecim, z spokojnością dobroduszną wysłuchał téj mowy. Zdumiał się widząc że przebiegła jego połowi-

ca na wszystko ma środki ubezpieczające ją przeciw nieprzyjaciołom, ale po krótkiéj rozwadze dodał.

— Jednakże kochana moja Betti, niewdawaj się tak blisko z temi Jezuitami, bo oni prędzéj jak kto inny mogliby nas zgubić, potępić na zawsze. Gdyby tylko wyjawili Królowej żc mamy u śiebie tajemną kryjówkę dła podsłuchiwania innych, już byłoby dosyć na ím do zgotowania nam biedy.

— Ha! ha! ha! (: rozśmiała się głośno Betti, a potém klepiąc Tomsa po twarzy, dodała zniejakim powabem zalotnośći:) ostro bierzesz mnie na ndagacyą, ale nietroszcz się o to, bo wiedz że Królowa jejmość dobrze zna tę kryjówkę, i w niéj nieraz już miłościwa pani wysłuchiwała, gdy Dajlerak w przyległéj komnacie różne tajemne niby prowadził negocyacye z panami których Królowa ująć dla śiebie poleciła.

Z jéj to nawet rozkazu kazałam urządzić tę akustyczną zasadzkę, i ona wyłącznie tylko dla samej Królowéj przeznaczoną być miała.

W téj chwili zapukano lekko w okienicę, i Bertrand szybko pobiegł do sieni, by otworzyć drzwi przybywającéj osobie.

Niezadługo, ukazała się średniego wzrostu niewieścia postać z czarną atłasową maską na twarzy. Osłoniona była obszernym aksamitnym ciemnego koloru szkockim pledem, a na ten widok pani Bertrand o mało że nie zemdlała, pewną będąc że niegodziwie zdradziła ją Letru

— To Królowa..... szepnęła w myśli do siebie, i serce trwozliwie zakołatało w jéj piersiach. Ale nietracąc odwagi postąpiła bliżéj, a gdy osoba zamaskowana szepnęła jéj kilka słów na ucho, wraz lekki uśmiech mignął na ustach pani Bertrand, która zbliżywszy się potém do swojego małżonka, przemówiła cichym głosem

— Sama Królowa jéjmość zaszczyciła nas swą osobą, pójdź więc mój Toms oczekiwać w sieni na margrabiego, a jak tylko przybędzie wprowadź go, i zaraz powróć na to miejsce, zwracając dokładną baczność, aby kto niepotrzebny nie zakradł się tutaj.

Bertrand niebardzo zadowolniony był z tego poruczenia, jednakże ulegając tak wysokim rozkazom, wyszedł ostrożnie, a kiedy w pokojah została już tylko sama Betti, w tenczas zamaskowana dama zbliżywszy się do niéj, przemówiła udanym głosem.

— Sądziłam że już zastanę tu margrabiego; jakofrancuzowi i dworakowi, należało mieć więcéj względności dla płci naszéj, zwłaszcza: że mężczzna nigdy niepowinien dawać uprzedzić się....Czy nie słyszałaś co nowego o wielkim podskarbim, bo zapewnie musi on teraz układać jakie nowe plany przy teraźniejszym sej-

mie, aby znów widokom swoim dać pole do obszernych intryg.

— O pan Morsztyn jest zbyt tajemniczy człowiek (: odrzekła cichym głosém pani Bertrand:) on niepowierza się nikomu, a listy które pisuje za granicę, sam zawsze kreśli własnoręcznie, i podobno jakiemiś znakami którychby nikt odgadnąć nie potrafił.

— Trzeba koniecznie ułowić w sidła tego ptaszka, mającego złote piórka, (: odrzekła zamaskowana dama:) niech i on opłaci characz, zwłaszcza, że zadużo już wysłał złota do Paryża gdzie podobno w okolicach Szampanij zamierz kupić ogromne dobra, aby na wszelki przypadek, miał w nich bezpieczne schronienie.

Należy zatém i od niego dziesięcinę odebać; a chcąc to pozyskać, trzeba koniecznie przejąć jego korespondencyą, z dworem Wersalskir prowadzoną. Słuchaj więc Betti, pomyśl no, tém, wszak ty często domyślną jesteś, i masz wie-

łe przezorności, a za to piękna nagroda spotkać cię może....

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowéj osoby, a tą był margrabia de Vitri poseł Ludwika czternastego.

Francuz jako układny dworak, zaczął z największą uniżonością usprawiedliwiać spóźnione swe przybycie, a kiedy ujrzał się, że jest sam jeden z zamaskowaną damą, dobył z zapiersi zwinięty papier, mówiąc.

— W tém piśmie wszystko jest objętę, cały plan postępowania i warunki jakie wzajem obowiązywać nas mają, proszę więc odczytać z uwagą.

Tajemnicza dama nie zdejmując maski przebiegła szybko papier, a zwracając go potém margrabiemu, odrzekła.

— Przystaje na wszystko, i przyrzekam z méj strony wypełnić zobowiązanie, ale jeden warunek kładę margrabio: że oprócz nas dwojga

nikt wiedzieć nie będzie iż wiadoma tajemnica za mojem pośrednictwém ułatwioną zostanie.

— Daję słowo honoru, i zaręczam w imieniu mojego Króla, że wszystko grobowém milczeniem pokryte będzie.

— Więc zgoda..... ja nawzajem daje słowo iż w zupełności spełnię wasze życzenia margrabio. Sam Pan Dajlerak dziś może jeszcze doniesie wam osobiście o skutku, a jutro pewni jesteśmy iż będziecie mogli udzielić swému dworowi nie omylną wiadomość.

— Pani, wdzięczność mojego monarchy nie będzie mieć granic, bo gotując zgubę Rakuskiemu domowi, utwierdzim święte przymierze Francyi z Rzeczą pospolitą. Potém dopiero dowiedzą się wszyscy, komu będą winni swą wdzięczność, a twe imie Pani zajaśnieje nieśmiertelnie w dziejach historyi obudwu narodów.

Zamaskowana dama nic nie odpowiedziała na tę ognistą przemowę, bo owa obietnica i ma-

jąca za nię spłynąć sława, nie zrobiły tego wrażenia jak sobie wnioskował margrabia; dla tego też przebiegły de Vitri przygotowany na wszystko, niebawnie doręczył jéj tysiąc sztuk dukatów, które miał przy sobie w przygotowanych umyślnie rulonach.

Na tak rzeczywiście przemawiający dowód, dama w masce najuroczyściéj zapewniła posła iż wszystko jak najzręczniéj wykona, a margrabia zupełnie zadowolniony z swéj tajemniczéj schadzki, wkrótce opuścił dworzec, aby następnie znów działać, stosownie jak mu okoliczności nakażą.

Po odejściu margrabiego, zamaskowana dama zabierając się także do powrotu, ująwszy za rękę panią Bertrand, rzekła jéj na ucho.

— Dobra noc ci Kochana Betti, masz to dla ciebie za twoją usłużność..... a teraz twój mąż musi odprowadzić mnie do zamku. Widzisz że

Letru umie być wdzięczną swoim przyjaciołom, i chętnie dzieli się zniemi pozyskaną nagrodą.

Zaledwo dziesięć upłynęło minut, Betti przeszedłszy w około poboczne pokoje, otworzyła drzwi prowadzące z przeciwnéj strony do ogrodu, by wypuścić dwóch Jezuitów, z wiadoméj nam akustycznéj kryjówki.

Cisza niczém nieprzerwana zaległa znów w dworcu, pani Bertrand z uśmiechém na twarzy liczyła złoto wyjęte z rulonów, a kiedy już nacieszyła się do woli tym ponętnym dla siebie widokiem, schowała go ostróżnie do małéj okutéj szkatułki ukrytéj w ściane za obiciem, i nucąc wesoło piosnkę, spokojnie oczekiwała powrotu małżonka.

III.

W TÉJ porze w stolicy niezwykły ruch panował, albowiem zwołany sejm z dniem 27 Stycznia rozpocząć się mający, ściągnął mnogą liczbę dygnitarzy korony i Litwy, tak że w miesiąc wsystkie domy zajęte zostały, a gwar i nie ustająca wrzawa, nie mal cały dzień i noc zapełniały Warszawę.

Każdy z Senatorów oprócz niemałéj liczby dworzan, otoczony był znaczym pocztém rycerstwa, które nie tylko świadczyło o jego dostatkach, ale w razie widoków pańskich poskramiać miało nie jedne umysły, ułożonym planom przeciwne.

Sejm obecnie odbywać się mający, był nader ważnym dla wielu, bo oprócz osobistych widoków, nie jeden miał sprawę ogółu i rzecy pospolitéj na celu. Wszędzie téż snuły się zbrojne tłumy, z chorągwi hetmanów, wojewodów, kasztelanów, biskupów, a każdy z tych junaków święcie utrzymywał stronę swojego pana, lub téż obstawał za tym lub owym, a to stosownie do odebranych rozkazów. Kto tylko posiadał jakie kolwiek zdolności, nie raz odgrywał tajemnie ważną rolę, bo albo sam przez się był sprężyną podniecającą innych dla widoków swego pryncypała, lub téż sam działał na swoją rękę według planów naprzód z rozwagą obliczonych. Z tego wynikły częste dziwne sprzeczności, i nie raz zdażało się, iż rozmaite partye insynuacyą Królowéj kierowane, na drugi dzień przechodziły znów do jéj przeciwników, i tak następnie w miarę, gdy korzystniejsze podawał warónki. Był to targ publiczny, w oczach wszystkich za

godziwy zysk uchodzący, bez względu jak z tego opłakane skutki w przyszłości na kraj spłynąć mogą. Duchowieństwo, szczególniéj Jezuici, odgrywali także ważną rolę, a pod płaszczykiem religii i chrześcijańskiéj miłości bliźniego, tkano tajemniczę śiatkę dla usidlenia łatwo wiernych.

Pallavicini arcybiskup Efezu nuncyusz stolicy apostolskiéj, tajemnie wpływał na wiele umysłów, we wszystkiem stosując się do rozkazów z Rzymu odebranych, a poseł Austryacki hrabia Walstejn wspierany tą duchowną pomocą czynił ciągłe zabiegi, by widokom Cesarza Leopolda pomyślny skutek ząpewnić.

Utworzyły się przeto dwie partye: jedna francuzka pod przewodem margrabiego de Vitri, którą kierował głównie wielki podskarbi Morsztyn, w duchu aby zerwać stosónki z Austryą, a nadewszystko odmówić żądanéj przeciw Ottomanom pomocy. Do partyi téj przyłączyli się

tajemnie nejpierwsi dygnitarze, a że i sama Królowa oświadczyła się za nią, była więc śilną, z tąd wielu nierozważnie głosiło przedwcześne zwycięztwo. Druga zaś mająca na czele Króla i nuncyusza apostolskiego Pallavicini z całem nie omal duchowieństwém, obrała sobie za godło, aby z zasady wspólnéj chrześcijańskiéj miłości, nieść pomoc Austryi, zagrożonéj zewsząd nieochybną zgubą. Powtarzane z ambon błogosławieństwa z Rzymu, słowa Chrystusa pana niosące pokój i zgodę pośród wyznawców świętéj zbawiciela wiary, w cichości zasiewały w sercach błogi owoc, a przytaczane braterstwo ludu, bez którego w wielkiem społeczeństwie świata nic ostać się nie może, wiele działały w owych czasach na umysły, gdzie religija była zasadą, niemal w mleku z piersi matek wyssaną.

Dwa te stronnictwa mające zupełnie różne i odmienne cele, każde działało skrycie, lecz śilnie, aby wzajem jedno drugie pokonać mogło,

i takiem przeciwnéj partyi poniżeniem, tryumf dla śiebie pozyskać.

Był to właśnie ostatni wieczór poprzedzający otwarcie sejmu, to jest kończący się dzień 26 Stycznia 1683 r.

Na ulicy nie dosłyszałeś turkotu kół, bo wszędzie uwijały się sanie, wiozące możnych dygnitarzy w różne strony miasta, a brzęk dzwonków nie omal głuszył przechodniów. Mnóstwo jechało lub szło piechotą na zamek udając się w prost do Króla, lub do komnat jego małżonki, a to w miarę o ile jednemu z nich sprzyjali. Inni znów stósownie do obranego lub przez drugich wskazanego celu, śpieszyli w rozmaite miejsca, gdzie sute biesiady z azyatyckim przepychém otwierały dla nich złociste podwoje.

W domu przez posła Ludwika czternastego zajmowanym, również dziś zebrała się potężna partya ślepo dworowi francuzkiemu a ra-

zem Maryi Kazimierze oddana, mająca tworzyć w senacie śilną przeciw Królowi opozycyą.

Kiedy zebrani w kilku komnatach biesiadnicy wnosili wzajem różne zdrowia, przyrzekając sobie wspierać się w tém aby skłonić Króla do odstąpienia Austryi, złączenia się z Francyą i z przymierzonemi z nią dworami, na ten czas Vitri dawszy tajemny znak wielkiemu podskarbiemu, wyniósł się z nim do odosobnionogo gabinetu.

Margrabia ująwszy rękę swego powiernika, przemówił z tryumfującem zadowoleniem, w rysach jego twarzy malującem się.

— A co przyjacielu, jakże sądzisz dzisiaj o wielowładnym moim w pływie? Czyli wątpisz jeszcze że nie przy nas wygrana?

— Plan twój morgrabio (: odrzekł powolnie Morsztyn) obliczony jest z wszelką przezornością i rzekłbym iż na pewno, gdyby.....

— Przez zbytnią ostrożność, nauczyłeś się być niedowierzającym..... (przerwał mu szybko poseł:) ale powiedz że mój podskarbi, czy choć na jednę chwilę mozna powątpiewać teraz, kiedy już doprowadziliśmy rzeczy tak daleko?...

— Nie przeczę ci morgrabio (: ciągnął daléj powolnym głosem:) że każdy słysząc te oświadczenia o których zapewniano cię przed chwilą, nie powinien wątpić o pomyślnym skutku; przecież ja dopiero w tenczas przyznam zwycięztwo skoro sejm zamknięty zostanie....

— Więc Królowéj i Księciu Wojewodzie nie wierzysz, chociaż w tém własny ich obojga interes spoczywa?...

— Nie wierzę!... spokojnym głosem odrzekł Morsztyn.

— Ha, to już chyba w nic na świecie nie wierzysz, kiedy na takie dowody śmiesz powątpiewać jeszcze mój podskarbi...

— Wysłuchaj mnie margrabio, a potém dopiero osądzisz (: przerwał posłowi biegły polski dyplomatyk:) Pierwszą nie wzruszoną wszystkiego podstawą, jest gruntowna znajomość ludzi, ich charakterów, skłonności, i nie zaledwie że tak powiem sposobu myślenia. Ja lepiéj od ciebie margrabio znam moich ziomków, z któremi nie raz bliżéj łączyły mnie i łączą sprawy kraju; dla tego też długiem doświadczeniem nauczony, przywykłém nie wierzyć każdemu na słowo, bo to słowo zawiodło mnie już nie raz. Ty bierzesz rzeczy z prostego stanowiska, kombinujesz następstwa, które nie omylnie same z siebie wyniknąć powinny. Ale nie jest to walka z nieprzyjacielem, którego śiły są widocznie nam wiadome, bo gdy jesteśmy pewni, że tam nie ukrywa się jaka zasadzka, łatwo przypuścić można wygraną. Ale może w téj saméj chwili gdy my tu poufnie rozmawiamy z sobą, przeciwne stronnictwo jest już uwiadomione, jaka

broń wyostrzona na nich? Tą zaś partyą składają ludzie, których nie łatwo liczbą naszych głosów przekonać, i tak przytłumić, że przeciw nam nie potrafią podnieść śmiałego, i na wszystko gotowego czoła! Bo wspomnij tylko mój margrabio na to, że główną stronę naszych przeciwników stanowi zakon Lojoli, którego członkowie widzą najskrytsze tajniki, i w pośród potulnéj uniżoności potrafią wniknąć wszędzie, nawet tam, gdzie wiedza człowieka zaledwie jedynie myślą śiągnąć potrafi!...

— I w czemże ci zakonnicy a nawet całe duchowieństwo potrafią nam przeszkodzić?... z ironicznym na ustach uśmiechém zapytał się Vitri. Przecież oni gabinetowych tajemnic odgadnąć nie potrafią, i to jeszcze takich, z któremi dopiero wczoraj wyprawiłém do Wersalu zaufanego gońca.

— A człowiek ten czyliż pośiada zupełne twe zaufanie kochany margrabio i jesteś że pewny, iż nawet złoto ująć go nie potrafi?

— Tak jestem pewny jak samego śiebie, dla tego też w przesłanym liscie nie wachałém się wyjawić mojemu monarsze cały plan tak zręcznie przez nas obydwóch ułożony.

— Na Boga!.. cóżeś zrobił margrabio!.. (: z przerażeniem wymówił Morsztyn:) a gdy by przyjęto tę korespondencyą, w ten czas z niesławił byś mnie i razem siebie! Mój list choćby dostał się w czyje ręce, nikt nie potrafi odgadnąć co zawiera, gdyż tylko sam Ludwik czternasty posiada tajemny klucz tych cyfer; ale twojem pismem, jeśli wspomniałeś w nim wyraźnie o mnie, zgotowałbyś mi nie ochybną zgubę. Królowa ze wszystkiego potrafi oczyścić się, ciebie margrabio zasłoni, nie tykalny charakter posła, ale ja czemże mógłbym zasłonić się? Ci wszyscy którzy dziś trzymają mą stronę, natychmiast umyli by ręce, a sama Marya Kazimira byłaby pierwszą do potępienia mnie w obec całego narodu.

— Ha! ha! ha!.. wielki dyplomatyk jakim ty jesteś mój podskarbi, nigdy nie powinien być tak bojaźliwym; przecież ja nie chciałbym cię skompromitować, ani też sam siebie, lub mojego monarchę. Dworzanin przezemnie wysłany, gotów raczéj śmierć ponieść, niż żeby miał oddać komu powierzone papiery. Bąć więc zupełnie spokojny kochany przyjacielu, a najdaléj za tydzień, obadwa śmiać się będziemy z płonnéj obawy, która nie w cześnie przejmuje cię dzisiaj. Wszystko tak skończyć się musi jak ułożyliśmy sobie, Austryą pognębiem, oddamy ją w moc Ottomańskiéj dziczy, a potém świat tryumf dla nas głośić będzie.

— O gdyby nie Jezuici, był bym zupełnie spokojny mój margrabio, ale szepcze mi jakieś złowieszcze przeczucie ze oni zaprzysięgli się na naszą zgubę. Dziś zaś dowiedziałem się, iż nader czynny ich zakonu członek, wiedeńskiego gabinetu tajemny wysłaniec, od niejakiego czasu

ukrywa się w naszéj stolicy, a jego w tę porę przybycie, jest dla mnie wróżbą piekielną. Człowiek ten niemal rzekł bym iż jest czârnoksiężnikiem, bo już raz w mojem życiu wypłatał mi taką sżtukę, że trudno nie wierzyć aby nie miał współki z szataném!

— Z szatanem!.... (powtórzył nie dowierzając Vitri) a to u was chyba nad ludzkie jakie rzeczy dziać się muszą, kiedy podobnie możesz przypuszczać mój przyjacielu.

— Prawda że nadludzkie rzeczy, które przechodzą pojęcie mojego rozumu..... bo choć nie wierzę w żadne kuglarstwa, ale czyn, jakiego ja sam byłém igrzyskiem, dowiódł mi: że podobnego człowieka, równie jak czarta lękać się należy.

— Cóż zrobił ten mądry Jezuita?..

— Zrobił to, co tylko jedynie szatan mógłby wykonać, uśpił mnie w swojéj obecności tak mocnym snem, iż nie wiedziałém co dzieje się

zemną, a on korzystając z téj chwili, zabrał wszystkie najważniejsze moje papiery?..

— Jak to, teraz?.... z przerażeniem zawołał Vitri.

— Przed dziesięciu laty, w dniu poprzedzającym skon Michała Korybuta..... z bolesném wykrzywieniem twarzy odrzekł wielki podskarbi.

— Może znim piłeś co, i on zadał ci odurzający proszek w trónku?

— O nie, nie nie piłem, zażyłem tylko od niego podanéj mi tabaki, i wraz ujął mnie tak mocny sen, że przez kilka godzin nic nie wiedziałem co działo się zemną.

— Ha, prawda że szatan..... mówił zniejakiem pomięszaniem Vitri. Z takim człowiekiem niebezpieczna jest walka, bo on może gotów uśpić na zawsze!..

— Widzisz więc margrabio, ażali są płonne moje obawy, i jak lękam się tego bazyliszka, który nie bez przyczyny przesiaduje tu

tajemniczo, aby działał stosownie do swoich widoków.

— Prawda że niebezpieczny człowiek..... po chwili namysłu odrzekł Vitri; ale przecież nie damy mu przystępu do śiebie, i dla tego abym łatwiéj uniknął jakiéj zasadzki, proszę cię wymienić jego nazwisko.

— Wota.... Sabaudczyk.... tajemny negocyant Cesarza Leopolda, posiadający w Rzymie wielkie wpływy....

— Ha, słyszałem ja o nim kilka razy, wiem że jest nader niebezpieczny, a swoją wymową, dowcipem i nauką, każdego łatwowiernego ująć potrafi, ale jednak możemy być spokojni o śiebie, ja ręczę ci za moim dworzaninem, że on w żadną zasadzkę wpaść nie potrafi. Zresztą wysłałem go tak tajemnie, iż nikt o jego odjeździe dowiedzieć się nie mógł.

Uspokojony nieco w swéj obawie Morsztyn, wkrótce razem z Margrabią powrócił do weso-

łych biesiadników a nowo wnoszone wiwaty wnet rozproszyły smutek z czoła podskarbiego i to złowieszcze poczucie, które niejako tajemnie ostrzegało go, o grożącej mu burzy.

Ale zostawmy ucztujących w domu posła wersalskiego dworu, i przenieśmy się w inną stronę, by zobaczyć siłę przeciwnéj partyi, która z innego stanowiska działała.

Gmach Warszawskich Jezuitów, domy kilku biskupów i mieszkanie nuncyusza apostolskiego Pallavicini były miejscem schadzek, gdzie układano tajemne plany, aby według nich działając potępić partyą francuską.

Wota najczynniejszy członek Jezuickiego zakonu, powiernik myśli Cesarza Leopolda, człowiek światły, pełen wiadomości i przenikliwy na wszystko, głównie układał chytry plan, aby przeciwników umatwić we własne sidła, a zarazem, iżby przez to mógł powziąść nieograniczone zaufanie Jana trzeciego.

Na tém najwięcéj też zależało mu, bo raz wkradłszy się właski wielkiego bohatyra, lubiącego otaczać się uczonemi ludźmi, wiedział dobrze Jezuita, iż nie prędko mógł kto zniszczyć to zaufanie, jakie on nie zmiennie zyskać dla śiebie postanowił.

Człowiek ten wychowany w dworskich intrygach, z dyplomatyką wszystkich mocarstw oswojony, wiedział dokładnie całéj Europy stosunki, a tém bardziéj Polski, i znał nadto wszelkie szczegóły rozdwojeń, które w domowym zakresie królowskiego stadła, niekiedy miewały miejsce.

On to przenikając dumę Sobieskiego że swemu potomstwu pragnął w puściznie przekazać tron który zabiegami swéj małżonki ośiągnął, widział dobrze iż ze stanowiska tego działać może najmocniéj naumył Jana trzeciego, który tajemnie już zawiązał był w tych samych widokach układy z dworem wiedeńskim. Pobożność do wysokiego stopnia wygórowana w Królu,

słabość jaką miał dla Rakuskiego domu, że względu na widoki zyskania Multan i Wołoszczyzny na udzielne Księstwo dla jednego z synów, były dla przenikliwego zakonnika aż nad to dostatecznemi bodźcami, aby mógł osiągnąć to wszystko, co tylko na mężnym lecz łatwowieznym Królu wymódz zamierzył.

Chociaż Wota opatrzony we własnoręczny list Cesarza Leopolda, do Jana trzeciego pisany, w każdéj chwili mógł ukazać się na jego dworze, jako poufny między dwuma monarchami pośrednik; wszakże baczny na wszystko Jezuita, ułożył sobie inny plan, mogący go od razu doprowadzić do pożądanego celu.

Abyśmy 'lepiéj poznali owe chytre Jezuickie zabiegi, udamy się do gmachu wielebnych ojców, blisko królewskiego zamku położonego, gdzie tajemnicze sidła miały właściwe ognisko, a głównym ich w obecnéj chwili działaczem był Wota, jeden z najczynniejszych członków

tego zgromadzenia, które zamierzyło sobie ujarzmić z czasem całą Europę.

Wielebny ojciec tylko co powrócił zdomu nuncyuszów stolicy apostolskiéj, gdzie razem znim na tajemnéj u arcybiskupa Efezu naradzie znajdowało się wielu pierwszych członków wyższego duchowieństwa.

Wpierwszéj celi stanowiącéj przedpokój, leżały na stole pod włóczkowym pokrowcem dwa zapieczętowane listy, podczas jego nieobecności włożone. Wota natychmiast wyjął je ztamtąd, a kiedy już wszedł do drugiéj sali, rozłamał pieczęć, i wcichości odczytał następujące słowa.

„ Wszystko pogług danych rozkazów wykonanem zostało, może dziś a najdaléj jutro wiadome papiery będą w naszéj mocy!

Na twarzy Jezuity przebiegł złośliwy, szyderczy uśmiech, schowcł szybko ów list do kieszeni, a potém rozpieczętował drugi, obejmujący takie doniesienie.

„ Morsztyn łącznie z posłem francuzkim najpierwszych senatorów przeciągnęli dziś na swą stronę, aby niejako zmuśić Króla do odstąpienia Austryi, połączenia się z dworem wersalskim. Królowa do téj zmowy należąca, podobno miłościwemu panu oświadczyła: że jeżeli za jéj zdaniem nie pójdzie, Polacy zdecydowani są usunąć go od tronu. Nastąpiło ztego powodu małe poróżnienie się, i gdy Marya Kazimiera zbytnie dokuczyła już swemu Jaśieńkowi, wyrzekł on: iż wtenczas chyba przystanie nato, skoro Ludwik czternasty zawrze z Polską zaczepne i odporne przymierze!

Znów uśmiechnął się Wota szyderczo jak pierwéj a schowawszy i to pismo do kieszeni, wyrzekł do śiebie.

— Teraz ja według upodobania wszystkiem kierować będę, nadam ruch, działanie, życie, by poniżyć i potępić tych, którzy dumne śwe czoła za wysoko wznieść chcieli. Zetrę ich na proch,

pokaże jaka jest naszego zakonu potęga, co może wytrwałość, i śilna wola człowieka! O pozna teraz Morsztyn kto z nas dwóch lepszym jest dyplomatą, i kto na pewniéjszych podstawach swoją wygraną obliczył!

Po tych słowach zadumał się wielebny członek jezuickiego zgromadzenią, dobył szczero złoty kameryzowany zegarek, a daléj mówił znów do śiebie.

Niezadługo hrabia Walstejn przybędzie do mnie, aby zasięgnąć nowéj rady; wspólnie znim działać muszę, bo tak zalecił mi Cesarz. Hrabia potrzebny mi jest wprzyszłych widokach, muszę zatém skarbić sobie te względy, przypuścić go do tajemnicy, która właściwie do mnie tylko należy, i sam jeden miałbym prawo żądać nagrody. Ale ja nieubiegam się za złotém, pragnę jedynie wielki wpływ ośiągnąć, aby przez to mój zakon przywieść do takiéj potęgi, że gdy zostanę jenerałem całego zgromadzenia,

wszystko będzie musiało zależeć odemnie. A potem, jeden tylko zostanie mi szczebel jeśli chciałbym zostać widomą głową..... i na tém skonały słowa Woty, rumieniec wystąpił mu na blade lica, serce mocniéj zakołatało w piersiach.

W chwili tych wzruszeń wielebnego ojca, zastukano we drzwi; powstał Wota, ostrożnie otworzył, i wprogu ukazała się wysoka postać mężczyzny, kosztownym futrem otulonego.

Tym przybywającym był hrabia Walstejn, wyglądał na lat pięćdziesiąt wieku, rysy jego twarzy zmarszczkami pooranéj dosyć były wydatne, a czoło szerokie i wyniosłe, znamienowało nie pospolite zdolności, jakiemi odznaczał się zaufany dyplomatyk wiedeńskiego dworu. Czarne przenikliwe oczy hrabiego, długiemi rzęsami i niegdyś ciemną, a teraz szeroką szpakowatą brwią osłonione, malowały obok żywości przenikliwy charakter człowieka, na wyższem stopniu społeczności zrodzonego.

Z całéj zaś szczupłéj niejako wymuszonéj postawy, przebijała się wrodzona austryacka duma, jaką często zwykł był okazywać niższym od śiebie.

Jednakże na twarzy hrabiego jaśninł teraz słodki, uprzedzający usmiech, a z uscisków serdecznych, któremi obdarzał w zakonnéj pokorze kłaniającego się Jezuitę, nie jeden mniéj świadomy mógł być wbłędzie, że człowiek ten dla każdego jest przystępny.

— Zawsze jesteś słowny księże Maurycy (: przemówił poufale hrabia, ściskając obydwie ręce zakonnika:) a ja wątpiłem czy zastanę cię w téj porze. Spieszyłem jednak, bo jeszcze dziśiaj trzeba nam ułatwić wszystko, zwłaszcza że jutro zaczną się już owe burzliwe narady.

— Przecież ja od młodości mojéj (: odrzekł układny Wota:) nawykłem do zupełnéj punktualności, i od tego ani na krok nie odstępuję

nigdy, tém bardziéj gdy Najjaśniejszy Cesarz tak wielkiéj wagi interes poruczyć mi raczył.

— Znamy się dobrze ztéj strony kochany księżulku, i wiem że obok swojéj mądrości i doświadczenia, niczego nie zaniedbasz ku osiągnięciu pomyślnego skutku. Dla czego też radbym wiedzieć jak stoją rzeczy z wiadomemi denia peszami.

Wota w miejscu odpowiedzi, wyjął z zanadrza wiadomą nam kartkę i podał do odczytania hrabiemu.

Walstejn przebiegł ją szybko swym przenikliwym wzrokiem, a potém przemówił z szyderczym uśmiechem.

— Ani spodzieje się Vitri, jak złowiemy go wpułapkę!... Wiesz księże Maurycy, to doskonały figiel, prawdziwie dyplomatyczny..... Jednakże jestem w obawie by nie popełniono przytém morderstwa, bo mogłyby to narobić wielkiego hałasu, i popsuć wszystko.

— Bądź hrabia zupełnie spokojny, bo oprócz kilku godzin mocnego snu, żadne inne złe następstwo nie będzie miało miejsca. Tu nie siła ale niewinne podejście, i cudotwórcza nauka chemii, głównemi są działaczami; człowiek zaś któremu wykonanie tego powierzyłem, tak biegłym i obejrzliwym jest na wszystko, że ani jeden włos nie spadnie zgłowy gońca wersalskiego dworu, pojedzie on potém spokojnie do Paryża z innemi podłożonemi papierami. bynajmniéj nie domyślając się, iż wypłatano mu takiego figla.

— Ha to zręcznie..... prawdziwie po mistrzowsku ułożyłeś wszystko mój księżulku, wątpić nawet czy ja sam zdobył bym się na podobny koncept.

— Przecież Bóg na to człowiekowi dał rozum i wolą (: ciągnął Wota z złośliwym uśmiechem:) aby on w miarę zajść mogącéj potrzeby używał roztropnie tych dwóch tak wielkich darów. Nauka zaś i wiedza daleko posuniona są

przewodnikami rozumu i woli, a to wszystko w jednym człowieku zespólone razem, stanowi dopiero nie odzownie potrzebną całość.

— A serce człowieka, jakąż wtenczas powinno odgrywać scenę?... z uśmiechem dorzucił hrabia.

— Ono wykonywa tylko podrzędną rolę, w zupełném zastosowaniu się do tamtych. Bo kiedy rozum człowieka to wyrachuje co nie omylnie nastąpić powinno, wtenczas nauka i wiedza służą mu za pomocnicze źródła, a wola niezłomna jest tylko prostém wykonywaczém, serce zatém zupełnie do tego stósować się powinno, gdyż inaczéj tworzyła by się sprzeczność, która nigdy nie powinna mieć miejsca tam, gdzie idzie o rzeczy nader wielkiéj wagi, kobietom tylko należy właściwie mieć serce, stanowiące ognisko tkliwych uczuć, ale mąż stanu, dyplomata, jest zimnym na te wszystkie odcienia, właściwe że tak powiem samym tylko nie-

wiastom. Gdyby bowiem wygurowana ta czułość, miała wziąść górę w mężczyznie, niebyło by nigdy wojny na świecie, nie lała by się krew strómieniem, i jeden drugiemu ulegać by musiał. Jednakże człowiek jako rozumna istota, nie chcąc aby ziemia rumieniła się krwią ludzką, potrafi zawsze żnaleść środki, chroniące ludzkość od nieszczęsnych następstw zniszczenia. Tak kochany hrabio (: mówił dalėj Wota zwrastającym zapałem:) Jezuici nie mają wojska ale śiłą rozumu i woli staną za uzbrojone pułki, bo dążąc za głosem religii potrafią wcześnie złym następstwom zapobiedz. I tam gdzie idzie o wybawienie tysiąca ludzi, nie wachają się czasem poświęcić małėj ofiary, bo lepiėj niech zginie jeden zły, aby przez to wszystkich ocalić! Widzisz więc hrabio, jakiėj trzyma się zasady zakon pobożnego zgromadzenia, a choć są tacy co nie słusznie nasz wielki wpływ mają wpodejrzeniu, przecież ludzie na wszystko z zdro-

wym rozsądkiem zapatrujący się inaczéj myślą, i umieją o cenić wierne usługi tych, którzy zcałém poświęceniem dla człowieczeństwa, nawet gotowi są znośić prześladowania, aby tylko założony cel ośiągnąć! Iżaliż teraz nie wnaszych jedynie rękach spoczywa pokój Europy i szczęście tylu pokoleń ludzi, które niszcząca wojna naznaczyłaby piętnem zagłady? Toż mamy dozwolić aby zuchwały bisurman zniszczył chrześcijańskie państwo, dla dumy lub wywyższenia się ościennego kraju? I my słudzy Chrystusa, mogliżbyśmy obojętnie patrzeć na płonące ogniem wsie, miasta, i ludzi chrześcijan branych w ochydną niewolę, zapominając wielkich słów nauczyciela wiary; miłujcie się i wspierajcie wzajem, jąko dzieci jednéj matki na ziemi! Zaiste to nasz cel, to właściwe powołanie, aby całemi siłami zabieżeć takim następstwom, na które ludzkość cała obużać się powinna! A przecież są ludzie, co poklaskują owemu zniszczeniu, owéj

pożodze, mającéj ogniem i mieczem spustoszyć ucywilizowaną Europę!

Umilkł Wota, i wpatrując się w oblicze zdumiałego dyplomaty, czekał jego odpowiedzi, a wtéj chwili na twarzy Jezuity jaśniał promień zadowolnienia, bo widział jasno, że słynącą swoją wymową potrafił odnieść zupełne zwycięstwo.

— Słowa twoje uczony, pobożny kapłanie (: odrzekł hrabia:) tak przemawiające są do mojego przekonania, że w nich nie mogę znaleść, tylko jedynie uwielbienie dla waszego zakonu, który obrał sobie tak święte posłannictwo na ziemi. Za prawdę Cesarz Jegomość nie mógł w lepsze ręce powierzyć swojéj sprawy, gdy oddał ją człowiekowi, mającemu jedynie na celu zbawienie całego chrześcijaństwa.

Ale układny Jezuita z zakonną pokorą odrzekł nato dworskie pochlebstwo.

— Bóg patrzy na czyny i przenika wszystkie myśli człowieka, dla tego też my ubodzy zakonnicy, posłańcy Chrystusa na ziemi dla rozkrzewienia Jego świętéj wiary, zasadzającéj się na miłości bliźniego, powinniśmy czynić to wszystko, co dla dobra ludzkości czynić należy; a choć ciż sami ludzie odpłacają, lub odpłacą nam niewdzięcznością, przecież nagroda czekać nas będzie w wiekuistém życiu.

Lekkie poruszenie klamki w drzwiach przerwało dalszą rozmowę, a na twarzy Jezuity widocznie objawiła się jakaś niespokojność, bo niechciał mieć teraz zbytecznego świadka przy sobie.

Ale Wota zręczny we wszystkiem, i w każdéj chwili umiejący dać inny obrot swéj mowie a nawet myślom, skłonił się uprzejmie hrabiemu zapytując, czy pozwoli przyjąć nadeszłego gościa.

Walstejn równąż grzecznością odpowiedając, zastrzegłszy sobie nazajutrz dalsze uwiadomie-

nie, pożegnał Wotę, i wtym samym momencie gdy on wyszedł, ukazała się na progu wysoka, chuda postać w czarną sukienkę zakonu Lojoli ubrana.

Jeszcze na korytarzu nie zginął odgłos kroków hrabiego, a Wota już dowiedział się nader ważnéj oczekiwanéj rzeczy, i niezadługo w towarzystwie tegoż samego zakonnika opuścił szybko Kollegijum, dążąc krętemi ulicami w odległą część miasta.

IV.

U PODNÓŻA góry na której wzniesiono klasztor panien Marcinkanek, stał odosobniony dworek, niemal w zupełném opuszczeniu. Dach zielonym mchem pokryty przedstawiał to widocznie, i gdy by nie góra zasłaniająca go swojem ramieniem, już dawno był by runął pod siłą wiatrów, które nieraz po nad brzegiem Wisły, piekielne zawodziły tańce.

Głęboka już noc zapadła, całe niebo pokryte było jedną czarną chmurą, a wicher piskliwemi tony dął przeraźliwie, pomiatając w różne strony dużemi płatami padającego śniegu.

W téj ustroni miasta, panowała ponura jakby przerażająca cisza, zbudzona jedynie poświstém wiatru, szumiącego po szklistéj powierzchni zamarzłéj rzeki, pędząc przed sobą tumany śniegu który raz formował ogromne zaspy, to znów unosił je nad koryto Wisły, lub słał pod stopy góry, nad wyniosłym brzegiem panującéj.

W dworku tym, z dużéj sieni, izby i alkierza złożonym, palił się na ogromnym kominie ogień, podłożony pod miedziany kociełek, na żelaznym wysokim trojnogu stojący.

Kobieta blisko sześćdziesiąt letnia, raz dokładając smolnego łuczywa podsycała płomień, to znów rzucała w kociołek różną włoszczyznę i korzenie aromatyczne, dla nadania większego smaku przyrządzanéj potrawie.

Powierzchowność téj kobiety, dziwne malowała odcienia. Nasamprzód ubiór nie miał tego kroju, jakie inne jéj wieku niewiasty nosiły, ale składał on raczéj dziwną mięszaninę sprzeczną

z ubóstwém, które przedstawiało się z zewnętrznéj strony mieszkania. Miała na sobie spódnice z wypłowiałéj lecz niegdyś bogatéj jedwabnéj materyi, stan zaś obciśle usznurowany, obejmowała krótka tak że jedwabiem pokryta sarmatka, popielicami podbita. Na szyi wisiały trzy sznury dużych korali, i jeden sznur najbielszego bursztynu, na palcach zaś u rąk zmarszczkami pokrytych, rażącym połyskiem świeciło kilka bogatych kamieni wprawdziwe dukatowe złoto oprawionych. Głowę pokrywała czapeczka w kształcie pijuski z klapami na uszy futrem lamowana, a zpod niéj wyglądały długie warkocze zaplecionych włosów. Twarz owéj niewiasty, miała pociągłe charakterystyczne nieco oliwkowego koloru rysy, a nos greckiego składu, i duże podłuzne oczy czarną rzęsą i ciemną brwią pokryte, świeciły jeszcze pełnym ogniem życia.

Piec z zielonych kafli w téj izbie, otoczony był wyścielaną ławą, łosiową skórą pokrytą,

a błyszczące ćwieczki w około nabijane, świadczyły o dawnym jéj przepychu. Różne zaś sprzęty harmonijnie poustawiane, były oznaką czystości i porządku, jaki tu w każdym zakątku panował. W jednym rogu izby stało łóżko, osłonione kotarą, na któréj różne ptastwo i papugi kolorami wyszywane, dodawały jakiejś pawagi, a na przeciwnéj ścianie, wiszący Boga Rodzicy obraz, z lampką przed nim na stalowym łańcuszku zawieszoną, dowodził: że jest mieszkanie chrześcijanki, i pobożnéj niewiasty. Oprócz tego było zawieszonych na ścianie kilka portretów, mężczyzn w sarmackich ubiorach, z wydatnemi rysąmi twarzy przedstawiających.

Alkierz przyległy, tworzył wcale odmienną i niemal sprzeczną postać. Całą jego ozdobą były dwa duże z poręczami krzesła trzciną wyplatane, żelazne łóżko wełnianym kilimkiem okryte, i biórko dębowe z szufladami. Na ścianie nad łóżkiem w głowach wisiał srebrny mały

krzyżyk z wizerunkiem umęczonego Chrystusa, okok zaś na starym perskim spłowiałym kobiercu, zawieszoną była różna broń, w czystości i należytém porządku utrzymywana.

W téj chwili gdy opisana wyżéj niewiasta przyrządzała posiłek, wyszedł z alkierza do rodnéj postawy młodzieniec, na lat trzydzieści wyglądający. Jego twarz charakterystycznych rysów, otaczał jakiś rzewny smutek, a czarne wgórę zakręcone wąsy jeszcze ją więcéj marsowatą czyniły. Chociaż duże, ciemne oczy świeciły zwykłym młodzieńczym ogniem, malującym wnim całą energiją życia, jednakże na różowych ustach nie gościł uśmiech, bo już dawno był on obcym dla niego.

Mężczyzna ów atletycznéj postawy, ubrany był w kubraku siwemi barankami podbitym, biodra ściskał łosiowy pas na srebrną klamrę zapięty, z pozaktórego dopiero co przed chwilą

wyjął kordelas w jaszczór oprawny i zawiesił go na ścianie pomiędzy inną bronią.

— Usiądź żesz mój Michasiu na ławie pod piecem, i ogrzéj się, zaczem podam ci przyrządzonę wieczerzę, bo zapewne nie na jednym zabrakło ci wdrodze, a nikt też tak smaczno i troskliwie nie przyrządzi ci potrawy, jak kiedy ją sama zgotuję.

— Dziękuję wam matko za troskliwość (: odrzekł młodzian całując podaną mu rękę:) wszakże ja od dawna nauczony już jestém znośić wszystko, aby tylko tobie kochana Matko lepszy byt zapewnić.

— Drogie moje dziecie, jak ty jesteś dobrym synem, niech cię za to Bóg błogosławi, i z syła wszelkie pociechy w każdéj rzeczy co tylko zapragniesz. Wszakże ty jeden zostałeś mi na świecie, a w mojem sieroctwie i starości, jedynie tylko w tobie całe nadzieje spoczywają.

— Tak nadzieje..... powtórzył młodzieniec z ciężkiem westchnieniem, i dalsze słowa skonały mu na ustach.

— Synu mój, nigdy nie powątpiewaj o opatrzności Boga, i pamiętaj to zawsze: że on czuwa nawet nad najmniejszym robaczkiem na ziemi!

— Ileż to lat karmię się tą nadzieją, iż kiedyś lepszy los dla nas obojga zabłyśnie, a przecież dotąd jeszcze nie nadchodzi ta pożądana godzina. Zawsze i ciągle zawistny los prześladuje mnie, a od śmierci Króla Michała położenie nasze w niczém polepszone nie zostało. Gdy by on był żył, jeszcze może zaświeciła by gwiazda, ale z jego śmiercią przepadło wszystko podobno. Choć teraźniejszy Król dobry, przystępny i prawdziwy wojownik, ale taki jak ja człowiek nie zagrzeje przy nim miejsca, bo nigdy nie chcę być narzędziem intryg, które Królowa ciągle prowadzi.

— Widzisz Michałku, że kto ma taki sposób myślenia, ten nigdy daleko nie zajdzie. I ty gdybyś był umiał korzystać z losu, insza przyszłość zaświeciła by dla ciebie, a kto wie z czasem może wysoko był byś się posunął, jednakże swą porywczością popsułeś wszystko.

— Nie matko, do tego nikt mnie nie nakłoni, abym podłością doszedł znaczenia i majątku; wolę raczéj nędzę, niż dostatki za których nabycie mógłbym się kiedyś rumienić. Poczciwe serce i ręka niczem nie skalana, to są moje przewodniki, moje zasady, od jakich w całém mojem życiu ani na krok nie odstąpię. To była by podła nikczemność, a do tego ja nie czuje w sobie żadnego powołania. Wolałem raczéj stracić miejsce, zostać bez chleba, niż takim sposobém dosłużyć się czegoś więcéj na świecie!

— Dziecie moje, ja bynajmniéj nie ganię ci tego, ale gdybyś miał większe doświadcze-

nie, był byś inaczéj mógł poradzić sobie, i bez zdradzenia swojego dobroczyńcy....

— O matko, źle myślisz o mnie (szybko przerwał młodzieniec:) kiedy tak mówisz; ja na jednem ramieniu nie noszę dwóch delii; skoro służyć, to tylko jednemu panu, ale wiernie i poczciwie. Własne sumienie, własne moje przekonanie, nie kazało mi tak czynić, i wolałem stracić miejsce, niż taką drogą wywyższyć się nad innych. Chociaż mogłém wielkiemu podskarbiemu wyjawić wszystko, dowieść mu niezłomnego mego harakteru, i jak głęboką czułem wdzięczność dla niego, ale wtenczas musiałbym ciebie matko narazić na gniew tych księży, którzy niewiem dla czego opanowali was zupełnie.

— Źle mówisz mój Michałku (: odrzekła nieco zakłopotana matrona:) wszakże wiesz dobrze iż jedynie z ich łaski i opatrzenia mamy utrzymanie, a inaczéj musiałabym była ciężko pra-

cować na kawałek chleba, by ciebie razem z sobą wyżywić. . . . .

Młodzian westchnął jakby miał ciężki kamień na sercu, a potem z widoczną w twarzy boleścią przemówił.

— O nieszczęsna ta wdzięczność, ona jak rozpalone żelazo pali na mojem sercu! A jednakże pomimo tego, że ci sami księża, wychowali mnie i wyuczyli w swych szkołach, w mojéj duszy nie mogli zaszczepić swoich zasad. Chcieli abym włożył ich czarną sukienkę, ale ja nieczułem takiego powołania, bo podéjść kogo choćby w tém ukrywały się najlepsze zamiary, każdy szlachetny człowiek nazwie to nikczemnością. Ja nazwać się mogę dziś także nikczemnym, lecz gdyby nie zemsta paląca w moich piersiach, nigdy nie byłbym odważył się na ten krok, jaki z ich rozkazu spełniłem!... Choć czyn ten ma być zbawieniem całego chrześcijaństwa, jednakże matko

postąpiłem sobie nikczemnie, i śmiało w oczach innych nazwać się mogę nędznikiem!

— Jak źle że takie masz wyobrażenie; wiesz przecie dobrze jaka czekać może zguba całe chrześcijaństwo, bo pomnisz jeszcze kiedy srogi bisurman wydarł mi zmoich rąk twą śiostrę by ją potem zaprzedać może w ochydną niewolę.

Maryo drogie, kochane dziecie, Bóg tylko wie co z tobą stać się mogło! Dwanaśzie lat ubiegło, i w tych dwunastu latach strómienie łez wylałam a przecież nie odzyskałam mojego skarbu, który wydarła mi dzika horda Tatarów.

— To właśnie też spowodowało mnie do kroku jaki uczyniłém, aby zemścić się nad niewierną dziczą i zgotować im wieczną zagładę. W ich krwi pławiąc mój oręż, pomszczę się chańby méj siostry, lub też śmiercią walecznych legnę na polu chwały.

Niewiasta ocierając nabiegłe łzami oczy, zwróciła się ku młodzieńcowi, i składając bła-

galnie ręce, odrzekła na wpół z płaczem do niego.

— I chciałbyś opuścić mnie zgrzybiałą matkę, abym dwie straty razem opłakiwać miała wcześniejszy skon przyspieszając sobie? Nie, ty nie uczynisz tego, ty mnie nie opuścisz.... wszak prawda, drogi mój synu, ty kochane a teraz jedyne me dziecie!

— Jakże matko, czy chcecie złamać dane mi słowo, gdy jedynie pod takim warunkiem że i ja przeciw niewiernym walczyć będę, spełniłem czyn nikczemny, czyn zdrady.... podstępu!... Nie, tego niewymagajcie po mnie, bo to co zrobiłém, uczyniłém raczéj z pobudki zemsty przeciw prześladowcom naszéj świętéj wiary, niż dla inszych jakich widoków. Niechcę żadnéj nagrody ani téż dla niéj dałem się powodować, pragnąłem tylko i pragnę, aby wojska Ottomańskie znalazły śmierć i wieczną zagładę, a wtenczas dopiero nąsycę mą zemstę! A Marya!...

o, ona niewinne dziecie, nie mogłem obronić jéj moją piersią, uwieźli ją w dzikie stepy, i dziś Bóg tylko jeden wie co się stać znią mogło. I ty matko co wydarli ci własne dziecię, które tyle łzami opłakałaś, chcesz jeszcze tego, abym ja zniewieściale siedział w domu, w tenczas, kiedy inni pójdą szukać sławy i mścić się śmierci tylu swoich braci?

Matrona nic nie odrzekła na to, bo łzy i łkania nie dozwalały jéj mówić, serce nowem bólem odżyło, smutną przeszłość i minione wypadki, stanęły teraz w jéj wyobraźni; dla tego młodzieniec widząc podobne usposobienie, po małéj przerwie tak daléj mówił.

— Matko, oddaję wam te papiery, których nikczemnym sposobem stałem się właścicielem; ale że od tego zależeć ma żbawienie całego chrześcijaństwa oddaje je nienaruzszone. Jednak sam nie doręczę ich, bo niemógł bym ze śmiałém okiem powiedzieć iż spełniłem czyn,

którego w własném sumieniu pochwalić nie mogę. Jakkolwiek wierzę, że tak jest a nie inaczéj iż poseł francuzki margrabia de Vitri, chce intrygą swoją zgotować chrześcijaństwu i rzeczy pospolitéj zgubę, aby tym zadowolnić dumę swojego władcy, pragnącego poniżyć i wydać Austryą wręce nieprzyjaciół; wszakże wiem to dobrze, że tajemnice te mającą wszystko wyjaśnić wydarłem czarnym podstępem człowiekowi, który zaszczycił mnie chwilowem zaufaniem, nie sądząc jaką ułożyłem zdradę, a razem ściągnąłem nań wielką spotkać go mogącą odpowiedzialność. Sumienie moje dyktowało mi inaczéj, długo wachałem się czy spełnić dane mi zlecenie, ale twoje moja matko łzy i prośby przemogły nademną, a bardziéj to, że nasycę mą zemstę, odpłacę za wydartą siostrę która w cierpieniach, dawno już może zakończyła życie! Wszakże położyłem nie odzowny warunek, iż pospieszę wbratnie szeregi, aby pomnożyć liczbę walecznych.

Od tego nie odstąpię, nikt wstrzymać mnie nie potrafi, żadna siła, bo mój honor i moje uczucia, tak nakazują mi czynić!

A wydobywszy z zapiersi zapieczętowany pakiet papierów, złożył go w milczeniu na stole, gotując się do wyjścia.

— I gdzie chcesz pójść? znów mnie opuszczasz kiedy zaledwo co wróciłeś z utrudzającéj drogi.

— Lada chwila nadejdą ci czarni księża... jezuici, których nienawidzę i czuję ku nim wstręt wewnętrzny. Oszczędź mi więc matko rumienienia się przed niemi i przed samym sobą. Wy sami oddajcie im te papiery, niech zrobią zniemi co im się spodoba, aby tylko nie używali mnie więcéj za swoje wykonawcze narzędzie.

A nie czekając już żadnéj odpowiedzi, okryty burką opuścił mieszkanie, poszedł wązką ście-

szką zdłuż koryta rzeki ku klasztorowi Marcinkanek wiodącą.

Kiedy niewiasta sama tylko jedna pozostała, spiesznie starła łzy z oczu, tak aby je nikt obcy nie dostrzegł, a po chwili mówiła w myśli do siebie.

Dziwny to chłopiec, niczem nie mogę przełamać jego uporu, ani wstrętu do Jezuitów, jaki zdaje się że mu wrodzony jest w duszy. Chociaż wziął od nich klasztorne wychowanie, aby zczasem i on wstąpił w to pobożne zgromadzenie, jednakże wszystkie środki ku temu przedsiewzięte, nie mogą odnieść pożądanego skutku. A przecież on nie może domyśleć się niczego, tem bardziéj iż nikt nie potrafił wyjaśnić mu tajemnicy, która jedynie wgłębi mojego serca spoczywa.

O! bo gdyby ją wiedział, brzydziłby się mną i uciekł jak od poczwary piekła, niszczącéj mu świetne przyszłości nadzieje. Ale wielki Boże,

czyż moja wtem wina, że okoliczności, jakiemi skrępowaną zostałam tak a nie inaczéj nakazują mi czynić? Dziś nie odemnie to zależy, a przez wyjawienie wszystkiego, zgotowała bym mu raczéj nieszczęście, niż los polepszający. Jednakże przyjdzie może czas.....

W téj chwili skrzypnęły drzwi, i weszły dwie czarne postacie, opończami futrem podbitemi osłonione. Jedną z nich był Wota, tajemny poseł Wideńskiego dworu, a drugą Rektór zgromadzenia Warszawskich Jezuitów.

Niewiasta z pokorną pobożnością, każdego z osobna pocałowała w rękę, a oni na wzajem przeżegnali ją pasterskiem błogosławieństwem, mówiąc dobitnie: in nomine patri et filia et spiritu sancta, Amen!

Słowa te poważnie wymówione, rezległy się ponuro po izbie, a wiatr jednocześnie tak śilnie wstrząsnął całą budowę chylącego się do upadku domu, że obadwaj jezuici z trwogą spojrzeli

po sobie, ażali to nie ostatnia wybiła dla nich godzina.

— Pobożna wduchu niewiasto (: pierwszy przemówił rektor:) gdziesz są wiadome papiery i gdzież twój wyrostek, który chyba złym duchom zaprzedał siebie, i chyba dla tego stroni zawsze ukazać się przed mojem obliczem.

— Wielebny ojcze miejcie nad nim litość, boć czas już może by odpokutował za błędy, które nie on popełnił na świecie!

Rektor zchmurzył czoło na te słowa, i z ofuknieniem odrzekł natychmiast.

— Za błędy ojców, praojców nawet, ściga ręka Boga, jeśli ich grzechy zmazanemi nie zostaną! Wszakże ród Kaima przeklęty został za bratabójstwo, a wszyscy potomkowie jego, nawet po tym grzechu zrodzeni, wieczne prześladowanie ponosić muszą. Kto zaś na tym świecie nie odcierpi docześnie, ten na innym na wieki wieków srogie męki ponosić musi! Piekło pochło-

nie go w ognistą swą paszczę, piekąc w rozpalonym piecu, i gotując w wrzącéj smole. A ten co chce łamać swą przysięgę równym a nawet większym karom podpadnie!

Niewiasta zadrzała na te słowa groźby, zrobiła znak krzyża świętego na czole, a potem ze skruchą chrześcijańskiéj uległości odrzekła:

— Ja grzeszna służebnica, w niczem nie chcę wykroczyć na tym świecie, coby mogło stać na przeszkodzie zbawieniu duszy mojéj o czem wy wielebny ojcze jako mój spowiednik powinniście dostatecznie być przekonani.

— Więc nigdy kobieto nie upadaj na duchu, nie zapominaj jakie posłannictwo masz spełnić na ziemi, jeśli pragniesz osiągnąć wiekuiste zbawienie. Pobożność, wiara w Boga i kapłanów namiestników Jego na téj ziemi, nigdy na błędne scieszki nie sprowadzą nikogo z drogi żywota, i nikt też nie może osiągnąć zbawienia, kto tylko do znikomości ludzkich wartość jako-

wą przywiązuje. Wszak sam Jezus Chrystus powiedział: szczęśliwi są ubodzy i prześladowani, albowiem dla nich zgotowane jest krolestwo niebieskie. I ów bogacz w Ewangelii świętéj; który rozpuścił swoje sługi, i rozdał całe ogromne pomiędzy nich bogactwa, a stawszy się materyalnie ubogim, tym jedynie dostąpił łaski nieba, i pozyskał wieczne zbawienie. A ileż to żywoty świętych pańskich męczenników kościoła, przedstawiają nam podobnych czynów? Książęta i księżniczki zrodzeni na tronie, porzucili wszystko aby zaprzeć się samych siebie, uciekli na pustynie, i tam jedynie rozmyślając o Bogu, wyrzekli się świata, aby przyszły żywot szczęścia, ostrą pokutą mogli sobie wyprosić!

— Prawda, prawda wielebny ojcze.... wszak nieraz czytałam o tem w nabożnych książkach, które z waszéj łaski dla większego zbudowania się dostawałam. Wiem że świat jest tylko doczesną pielgrzymką, a dla wybranych inne

zgotowane jest wieczne życie, nie mające początku ni końca!

— Widzisz więc pobożna niewiasto (: ciągnął daléj ucieszony tą skruchą rektor:) że bogactwa i dostojeństwa doczesne, nie przynoszą zbawienia, bo pismo święte mówi: dla bogaczów zamknięte są bramy niebieskiego królestwa!

W czasie téj rozmowy, Wota dostrzegłszy leżący na stole pakiet papierów, z nadzwyczajną chciwością rzucił się na niego, a obejrzawszy na wszystkie strony, dla zapewnienia się czy nie został naruszony, schował go szybko za suknią, a potem zwracając mowę do Rektora wyrzekł po łacinie.

— Mamy już teraz potrzebny w swym ręku wątek, możemy więc powrócić..... (: a następnie wyjmując z kieszeni kokowy z małym złotym krzyżykiem różaniec przemówił do niewiasty:) Pobożna kobieto, oddając w twe ręce ten religijny symbol poświęcony przez samą Jego

Świątobliwość głowę kościoła naszego Jnnocentego jedenastego, a ten różaniec niech ci służy do modłów, jakie zasyłać będziesz w każdéj potrzebie do Najwyższéj istności. Twoje sumienie zaś niech będzie spokojne, bo pokora chrześcijańska i zupełne losom podanie się, pewnie zgotują ci w przyszłem życiu miejsce pomiędzy wybranemi.

Niewiasta znów uklęknęła prosząc ich o błogosławieństwo, które z chęcią udzielili jéj wielebni ojcowie, a nie zadługo znów została sama jedna z swojemi myślami.

V.

Michał Odrowąż wyszedłszy z domu, aby uniknąć spotkania się z jezuitami, szedł jakiś czas po nad sromym brzegiem Wisły, potem zakręcił nad gnojową górą, i minąwszy różne drewniane domy, wbiegł prosto na jezuicką ulicę.

Jego serce gwałtownie biło gdy spojrzał na oczerniałe mury, w których tyle lat młodego wieku przepędził, w nich nie jedną godzinę gorzko przecierpiał, a wspomnienie tego, niemal na dnie swéj duszy miał wyryte. Nie zadługo stanął przed głównym wejściem do obszernego gmachu, wielebnych ojców zgromadzenia Jezu-

sowego, i jeszcze wachał się przez chwilę, ażali tam ma wejść, lub wrócić się na powrót. Jednakże inne wiodące tam uczucia przemogły w Michale, albowiem w murach tych żył człowiek dla którego w sercu młodzieńca tliło przywiązanie i wdzięczność, a iskra ta od lat dziecinnych żywiona, wyrodziła się w sympatyczny pociąg, niemal w drugie prawo natury. I chociaż młody Odrowąż nienawidził ludzi czarną jezuicką suknią odzianych, jednakże dla jednego z członków ich zgromadzenia czuł synowskie przywiązanie, nie dające się niczem z głębi serca wykorzenić.

Kapłan tego zakonu z którym się zaraz poznamy, był przewodnikiem młodzieńczych lat Michała, a dobrocią i ujmującem swojem obejściem, potrafił w nim zaszczepić ku sobie ufność, i najwyższy szacunek, nie dający się wygładzić z umysłu. On to, pierwsze, młodociane jego kroki prowadził, uczył zasad religii, miłości bli-

źniego, a swym niezwykłym darem wymowy i łagodnością, umiał w dziecinne serce zaszczepić przywiązanie, ufność, i wiarę. Nigdy on nie obchodził się z surowością braciom tego zakonu wrodzoną, owszem przez łagodne niekiedy pobłażanie młodzieńczym pustotom, zwolna kształcił to dziecię, które wziął wyłącznie na swe wychowanie.

Ojciec Anzelm, umiał zjednać sobie u całego zakonu większą nad innych powagę, już to przez naukę, pobożność i życie cnotliwe, już znów że miał tę odróżniającą go od innych wyższość, iż nie był egoistą, lecz na wzór Chrystusa Pana obrał sobie za godło miłować bliźnich i kochać ich jak braci. Czarna suknia zakonu, w którym długi czas żywota przepędził, i żasady przez jego duchownych towarzyszy przyjęte, w niczém nie wywierały wpływu na obrane sobie od początku prawe postępowanie. Nigdy on nie mięszał się do intryg, jakiemi tak

czynnie choć skrycie zajmowali się członkowie zakonu, owszem brzydził się każdym podstępem, intrygą, a jedynie dobro zbawienia ludzkiego miał na ciągłéj pieczy i uwadze. I nikt też przeciw niemu nie miał nic do zarzucenia, tém bardziéj, iż każdy od pierwszego poznania uczuł dla tego kapłana jakiś mimowolny pociąg, nie dający się niczem wytłomaczyć.

Sama powierzchowność ojca Anzelma była pociągającą, bo w rysach jego twarzy jedynie dobroć serca malujących, każdy łatwo mógł wyczytać, że on prawdziwym jest posłannikiem Zbawiciela, a miłowanie bliźnich i przebaczanie im winy, odznaczało się na jego pogodnem czole, w spojrzeniu, w mowie, owo zgoła w każdém ruchu i całem obejściu. Nie dziw więc żaden, iż człowiek taki młodociane serce dziecka wyłącznéj jego opiece powierzonego, zupełnie pozyskał dla siebie, obudziwszy w niém to synowskie przywiązanie, jakie nigdy zatrzeć się

nie potrafi. Michał też kochał go jak ojca, bo on rzeczywiście był mu drugim rodzicem, i z całem poświęceniem odał się wychowaniu swojego pupilla.

Cela ojca Anzelma, była razem wspólnem mieszkaniem jego wychowańca, a mały wówczas Michaś, niemal na krok nigdy go nie odstępował. On co dzień usługiwał mu przy mszy świętéj, spełniał drobne posługi jedynie z własnego popędu, i natchnienia; wzajem zaś dobry zakonnik, pieszczotami i łagodnem obejściem nagradzał mu to wszystko, a mały chłopczyna coraz więcéj przywiązywał się do swojego opiekuna.

Wrażenia młodości śilniejsze są nad wszystko, one wpojone w serca, przetrwają w niem wiernie, bo dziecko niezna obłudy, szczerze kocha swojego dobroczyńcę, a to uczucie w zarodzie życia poczęte, rozwija się stopniowo, i przechodzi w trwałe, niezłomne przywiązanie. Tak samo też miało miejsce i z młodym Michałkiem

Dziś gdy już był dorosłym mężczyzną, w niczém nie zmienił się dla swojego opiekona, i w obronie jego, gotów był nawet życie swoje poświęcić. Niemiał względem niego żadnych skrytości, ani tajemnic, owszem we wszystkiem udawał się poufnie, bo widział i przekonany był w duszy, że lepiéj i z większą szczerością rodzony ojciec nie potrafiłby mu radzić.

Istniał więc między niemi ten sympatyczny związek, wzajemny ku sobie pociąg, który jest drugą w życiu człowieka potrzebą. I za prawdę Michał Odrowąż, winien był wielką poczciwemu zakonnikowi wdzięczność, bo on nie tylko że serce jego ukształcił, umysł wszelkiemi jakie posiadał wiadomościami w zbogacił, ale nad to nie narzucał mu przyszłego w życiu zawodu, który własnéj, dojrzalszéj rozwadze wyłącznie przy nim zostawił. Choć przez to ojciec Anzelm ściągnął na siebie nie łaskę wielu członków zakonu, gdy jego wychowaniec nie czując w so-

bie powołania, nie chciał przywdziać jezuickiéj sukienki, ale takim właśnie postąpieniem, zyskał tem większe przywiązanie młodzieńca.

Takie więc były stosunki Michała ciągnące go w mury nie nawidzonego zakonu, bo tam w dojrzalszym wieku nie jedno znosił prześladowanie, skoro poznano iż nie można było policzyć go do rzędu braci, będących prostym wykonawczém narzędziem, rozkazów rzymskiéj propagandy.

Odrowąż znając każdy najmniejszy zakątek jezuickiego kollegium, przebiegł szybko ciemne, długie korytarze, i niebawem stanął u drzwi celi, przez ojca Anzelma zajmowanéj.

Z tajemną obawą lekko zapukał, bo żegnając przed kilku dniami swego opiekuna, zostawił go złożonego słabością, a obawa ta tem więcéj wzmagała się teraz, gdy z wewnętz słaby głos odpowiedział: proszę wejść.

Skrzypnęły drzwi skromnéj celi, w któréj błyszczała lampka olejem nalana, rzucająca mdłe po gołych ścianach światło. Na łożu leżał schorzały zakonnik, a jego wzrok zajaśniał w téj chwili żywszym blaskiem, i zachmurzone rozpogodziło się czoło. Odrowąż na podanéj mu ręce złożył gorący pocałunek, i ze łzą w oczach przemówił.

— Sądziłem że was czcigodny ojcze w lepszem zdrowiu zostanę....

— Synu kochany, już brzemie lat przyciska mnie, i dosyć już nażyłem się na świecie. Że zaś nikomu nie zrobiłem nic złego, więc w każdéj chwili przygotowany jestem na zakończenie téj ziemskiéj pielgrzymki, jeśli Bóg rozporządził powołać mnie do siebie. Cieszę się z tego, iż przynajmniéj ujrzałem cię jeszcze, abym mógł objawić ci ostatnią mą wolę, i to wszystko wypowiedzieć, co miałem na mojem sercu. Za to niech będą dzięki Bogu, że wysłuchał moich

gorących a nie godnych modłów, teraz nie będzie mi już tak przykro umierać.

A gdy młodzieniec rozczulony taką mową, począł rzewne łzy ronić, wzruszony tém przywiązaniem kapłan, rzekł daléj łagodnie.

— Uspokój się mój synu, nie rób mi téj boleści, abym w ostatnich godzinach, miał żałować iż schodzę ze świata. Wszak zawsze uczyłem cię tego, że tu doczesność tylko, a tam na innym świecie wieczność, nie mająca nigdy skończenia. Jesteś już dorosłym męczyzną, wychowałem cię w bojaźni Bożéj i miłości dla bliźnich, ukształciłem twój umysł, wpoiwszy w niego te wszystkie wiadomości, jakie przez ciąg mojego życia nabyłem, a w serce twoje zaszczepiłem zasady, za które przed światem i Bogiem wstydzić się nigdy nie będziesz. Masz rozum, poznanie rzeczy, tylko brak ci samego doświadczenia, ale nie zbłądzisz w świecie, jeżeli wszędzie, zawsze, w każdéj rzeczy, prostą pojdziesz

drogą, Religija stanie ci za tarczę we wszystkich przeciwnościach osłaniającą; w niéj, znajdziesz balsam na rany, jakie w życiu twojem zadać mogą nieprzyjaciele, lub ludzie złośliwi. Z pomocą zaś rozumu i serca kierować będziesz swemi kroki, a z temi przewodnikami nie zbłądzisz na świecie doczesnego żywota.

— Ojcze mój, ty zawsze byłeś mi dotąd radą i pomocą, do ciebie uciekałem się w każdem zdarzeniu, a teraz niestety, cóż pozostanie mi na świecie?

— Masz matkę moje dziecko, dla niéj poświęć swoje przywiązanie, a tym odpłacisz jéj za trudy, jakich ona nie szczędziła w twém niemowlęctwie. Jesteś młodym, ukształconym, świat otworem stoi przed tobą, i wspomnisz moje słowa, że na niem źle ci nie będzie, skoro z wszelkiem poświęceniem się zechcesz pracować! Dotąd nie obrałeś sobie dalszego zawodu, ja nienarzucałem ci nigdy, ani narzucam stanu, do

którego nie czujesz wsobie powołania. Zostawiłem ci w tém zupełną wolność, a dziś kiedy masz dojrzały już rozum, od ciebie samego należy wybór. Również nie nakłaniałem cię abyś wstąpił do naszego zakonu, bo ja znam to dobrze, że człowiek przeciw swym skłonnościom iść nigdy nie powinien, zwłaszcza tam, gdzieby mógł żałować poźniéj tego kroku. Wychowałeś się pośrod naszego zakonu, wykazałem ci róznicę wszystkich pomiędzy sobą stanów, a gdy obrałeś inny zawod, nie sprzeciwiałem się bynajmniéj temu. Abyś poznał dworskie życie umieściłem cię na dworze podskarbiego koronnego pana Morsztyna, a potém iżbyś za jego protekcyą dosłużył się czegoś na świecie. Usunąłeś się z tamtąd, dla przyczyn, które nie zgadzały się z twoim prawym sposobem myslenia; tego kroku nie zganiłem ci, skoro wszystko wyznałeś mi, bo prawość w człowieku, również z tobą za najpierwszą cnotę uważam.. Poźniéj

oświadczyłeś mi iż życzysz sobie wejść w zawód wojskowy; i temu nie byłem przeciwny, bo człowiek w każdym stanie zarówno szczęśliwy być może, gdy tylko uczyni zadość przyjętym obowiązkom. Każdy winien służyć swemu krajowi, nieść pomoc nawet z ofiarą własnego życia, gdzie idzie o dobrą sprawę, o los naszych braci, bliźnich. Teraz właśnie mieć będziesz pole ku temu, pójdziesz z innemi pod Wiedeń, by wybawić zagrożone chrześcianstwo, i zniszczyć dumę puł-księżyca. I ja znam przecie co to wojna, bo będąc dawniéj kapelanem wielkiego hetmana Chodkiewicza, patrzyłem zbliska na bisurmańskie hordy pod Chocimem, które ogromnemi zastępy chciały zgnieść naszą garstkę, w Bogu jedynie pokładającą nadzieję. A ileż to niemal cudów dokazywało nasze wojsko? Począwszy od Batorego, oręż polski ciągle był postrachem dla Turków i Tatarów. Ow żaś nieulękły Chodkiewicz, postrach bisurmańskiéj dziczy, z garstką

znękanych żołnierzy, krociom dyktował pokoj, orężowi polskiemu przynoszący sławę. I dziwnéj odwagi Stefan Czarnecki z biednego zagonowego szlachcica dosłużył się najwyższych dostojeństw, i buławy, złamawszy potęgę Szweda co prawa chciał nam dyktować, i osiągnąć tron Piastów. Ale pocóż sięgać nam dawniéjszych epok, Król terazniéjszy najlepszym jest obrazem, co może sarmacka odwaga. Szczęśliwie wygrane bitwy, pod Słobodyszczem, Podhajcami, Kałuszą i Chocimem powiodły go na stopnie tronu, i zasiadł na nim by sławę Polski rozszerzyć! Michale, pod takim królem, odwagą nabędziesz prawa do zasług, którą on pewnie nagrodzi. Razem z innemi pod Wiedniem okryiesz się sławą, a ten Bóg co zawsze opiekuje się naszą ziemią, przyda jeden laur więcéj jeszcze, do tylu zdumiewających zwycięstw.

Oko młodzieńca pałało nie zwykłym ogniem, słuchał znajwiększém zajęciem wyliczone mu

zwycięztwa, a gdy schorzały kapłan umilkł dla odpoczynku, Odrowąż nieznacznie otarłszy dwie łzy biegnące mu z oczu, odrzekł zuniesieniem.

— Kapłanie, drugi mój Ojcze na téj ziemi, ja czuję wsobie ten rodzinny zapał, patrz jak w piersiach silnie uderza me serce, bo wojenna przodków sława, całą mą duszę zajmuje. Czuję że krew wre w moich żyłach, tym samym ogniem jaki ogrzewał wyliczonych mi wodzów, i własném męztwem chciałbym również przyłożyć się do tylu walecznych czynów! A jeśli zginę, to legnę wśród mężnych braci, złożą me kości w mogile, która kiedyś świadczyć będzie potomnym,ześmy pierwsi szli w pomoc zagrożonemu chrześcijaństwu!

— Podaj mi rękę Michale, niech ją uściśnie zgrzybiały starzec, co również w jego piersiach wrzała kiedyś podobna chęć do wojennéj sławy. Ale nie miałem przewodnika, byli ludzie którzy ostudzili wemnie ten zapał, a ja za błędy

aryanizmu mych przodków, zamknąłem się w murach zakonu, by dla nich odpuszczenie winy wyprosić u Boga. Jednak i wtym zawodzie spełniłem moje posłannictwo, wielki obowiązek kapłana, apostoła wiary Chrystusa. Nigdy krętemi nie szedłem ścieszkami, wpływu mojego nie kierowałem do żadnych widoków, bo brzydziłem się i brzydzę wszelkim czarnym podstępem, a bardziéj by pod osłoną religii usidlać umysły, i prowadzić ich na zgubną drogę ciemnoty!

Na te słowa konwulsyinie zadrżał młodzieniec, łzy oblały mu lica, głowę zwiesił na piersi, i twarz obiema dłońmi zasłonił. Spostrzegłszy to kapłan, ujął go za ręce, i wlepiając przenikliwe spojrzenie zapytał z dobrocią.

— Dla czegoż taka rozpacz maluje się na tobie moje dziecię? widzę że masz w sercu jakąś tajemnicę. Mów śmiało, powierz mi swe cierpienia, tak jak wszystko powierzałeś mi zawsze.

— Bo w téj chwili, uczułem całą okropność niegodnego postępku (odrzekł śród łkania Odrowąż) który z rozkazu zakonu spełniłem!...

— Wszak dane ci zlecenie, wykonałeś zmą wiedzą i zezwoleniem; sumienie więc twoje nie zostało splamionem. Lubo do wykonania zlecony ci środek niebył godziwym, wszakże niemogłeś innym sposobem osiągnąć tych depeszy, chyba popełniając morderstwo na człowieku, który w życiu swojem nigdy nic nie zawinił tobie. Chodziło tu o sprawę milionów ludzi, o środek za którego pomocą możnaby pokonać przeciwną stronę, ciągle nakłaniającą króla, by dla Wiednia żądanéj pomocy odmówił. Bo nasz Sobieski choć pierwszy w całéj Europie bohatyr ale przez wrodzoną słabość ulegania żonie, wacha się, zwłaszcza że ona z wielu panami mającemi swe własne widoki na celu, usiłuje koniecznie odwieść króla, wdaniu odsieczy zewsząd zagrożony Austryi. Trzeba więc było silnych

dowodów, by prawdziwy stan rzeczy ukazać królowi, przekonać go jawnie, jaka zguba jemu i całemu chrześciaństwu w razie dalszego wachania się zagraża.

— Jednakże pobożny i czcigodny ojcze (przerwał młodzian) czyn przezemnie wykonany, nie zgadza się z mojem przekonaniem, bo każdy podstęp w jakiéj kolwiek on sprawie, zawsze na sobie nosi piętno ochydy!

— Jle rozumiesz rzeczy mój synu (odrzekł łagodnie jezuita) ale w tém nie mogę dziwić się tobie, bo nie znasz ani możesz wiedzieć o zawiści, intrygach i razem o planie jaki dwór wersalski przeciw Austryi ułożył, by ją zgubić, a zguba ta i naszéj rzeczypospolitéj stać by się mogła grobowcem. Bo gdyby synowie wschodu zdobyli Wiedeń, czy myslisz że przestaliby na tem? Całą Europę zalaliby pożogą wojny, zwłaszcza iż Kara-Mustafa dumny Wezyr, przyrzekł swemu panu, że przed jego tronem musi

Europa schylić swe czoło! A my przedmurze chrześciańskiego państwa, mamyż stać z założonemi rękami, aby dopiero w tenczas ocknąć się z błędu, kiedy zuchwały muzułmanin, powodzeniem swego oręża ośmielony, zapusci aż w naszą ziemię zagony, bez bronny lud wezmie w jassyr, i zniszczy ogniem nasze wsie i miasta? Nie, w samym początku trzeba go zgnębić, a Wiednia równiny niech będą świadkiem zniszczenia ottomańskiéj potęgi! Tak synu mój robiąc przysługę całéj ludzkości, spełniłeś czyn chrześciański, i teraz król ani na chwilę wachać się nie będzie. Przejęciem tych depeszy, tysiącom ludzi oszczędziłeś śmierć i chańbę, a Bóg znając czyste twe serce i niczem nie splamione sumienie, mogłżeby poczytać ci za zbrodnią to, co jedynie dla dobra całego chrześciaństwa spełniłeś?

Na taką przemowę kapłana uspokoił się Odrowąż, a ojciec Anzelm odpocząwszy nieco, tak daléj do zadumanego mówił młodziana.

Teraz o tobie muszę pomówić, bo zemną schorzałym starcem kto wie co stać się może. Ty pójdziesz z walecznemi obrońcami chrzesciaństwa pod Wiedeń, a ja najpewniéj przeniosę się winną podróż, gdyż czuję po swoich siłach, że już podobno ostatnia dla mnie godzina dobija. Słuchaj więc dziecie moje cierpliwie tego co ci powiem, bo wtem cała twa przyszłość spoczywa. A najprzód przyrzeknij mi na imie Boga i najświętszą matkę Jego, iż wszystko co usłyszysz, spełnisz według méj woli i zlecenia.

I usiadłszy na łóżku, schorzały Kapłan zdiął ze ściany wizerunek ukrzyżowanego Chrystusa, a trzymając go w zeschłej dłoni, podał ten symbol wiary do ucałowania młodziencowi, który bez wachania się wyrzekł.

— Wimnie Boga i swiętéj Jego matki przysięgam, że wszystko wiernie wykonam!

Kapłan równiesz ucałował krzyż święty, a potem zniżonym głosem mówił.

— Pod czas twéj nie obecności, obmyśliłem ja abyś posiadał wszystko do godnego w szeregach obrońców chrzesciaństwa wystąpienia. Będzięsz miał konia, rynsztunek, i nad sobą opiekę samego Generała Kątskiego, przy którego boku masz być nie odstępnym towarzyszem.

Jutro udasz się do niego, on wskaże ci nowe obowiązki, a reszta od ciebie samego zależyć już będzie.

Na wszystkie twoje potrzeby złożyłem w jego ręce stosowny fundusz. A teraz (sięgnąwszy pod poduszkę, rzekł ojciec Anzelm trzymając w ręku pargaminowy opieczętowany list:) powierzam ci we własne ręce to, od czego cała twa przyszłość zależyć będzię. Lecz nie wprzód złamierz pieczęć tego pisma dla dowiedzenia się co ono w sobie zawiera, do póki nie wrócisz zwycięzcą z pod Wiednia, ale i w tenczas niewpierw otworzysz go, aż naocznie przekonasz się za swym powrotem do stolicy, że ja opuściłem już tę ziemską pielgrzymkę.

Jest on tym chemicznym sposobem pisany, jakiego nauczyłem ciebie, i gdybyś miał zginąć czego Boże uchowaj, nikt z niego nic nie dojdzie, bo za odpieczętowaniem znajdzie czysty pargamin, a tylko ty jeden posiadający mego wynalazku tajemnicę, wiesz jakiego należy użyć środka, aby litery widzialnemi były.

Odrowąż odebrał tajemnicze pismo, troskliwie schował go za piersi, a czci godny jezuita znów mówił do wzruszonego młodzieńca.

Bądź pewnym że Bóg nie opuści cię, tylko wiernie i statecznie ufaj zawsze w Jego miłosierdziu, bo on nigdy nie odmawia swéj łaski, szczerze uciekającym się do niego. Te zaszyte relikwije noś zawsze na swych piersiach, one będą silną tarczą, zasłaniającą cię w każdym wypadku.

Długo jeszcze pobożny kapłan dawał młodzieńcowi różne rady, jego modłom polecał grzeszną swą duszę, a będąc pewnym że nie

wiele już chwil mu pozostaje, udzielił swemu wychowańcowi błogosławieństwo, a potem temi zakończył słowy.

— Już musiemy się rozstać, aby nie obudzić jakich podejrzeń, bo znając nasze zasady, wiesz że i w tych czterech ścianach mojéj celi, nie zawsze otwarcie mówić można. Mnie starcowi nic nie zagraża już, ale dla ciebie, mogłaby cała przyszłość okryć się kirem żałoby! Dla tego żegnam cię.... bądź dobréj myśli, nie smuć się mojem skonem, bo w księdze odwiecznych wyroków tak zapisano: że każdy kto rodzi się umierać musi!

Umilkł kapłan, nie mogąc dalej mówić ze zbytniego wzruszenia, zwłaszcza gdy Odrowąż nie miał siły powsiągnąć łez, mimowolnie z oczu biegnących.

Była to bolesna, nader przejmująca chwila. Na łożu dogorywając ostatniem tchnieniem leżał schorzały starzec, a u nóg jego klęczał

młodzian, utracający w niem drugiego ojca dla siebie. Wokoło ponura zaległa cisza, tylko lampa migotliwym połyskiem oświecała wybładłą twarz starca, i dawała widzić bolesne cierpienia w obliczu Odrowąża.

Odgłos klasztornego dzwonka wzywający braci do spoczynku, przerwał tę jednostajną ciszę a kapłan osłabionym głosem znów powtórzył.

— Bądź zdrów mój synu..... idź.... niechciéj zgotować sobie zguby na przyszłość!

Mimo chęci Odrowąż musiał spełnić ten rozkaz, zwłaszcza że lada chwila mógł który z zakonników wejść do celi, a tłumiąc w swych piersiach bolesne jęki, opuścił klasztorne mury, wydzierające mu opiekuna młodości. Niepostrzeżony wybiegł na ulicę, i szeptał cichą modlitwę do Pana zastępów, aby przedłużył jeszcze dni czcigodnego kapłana.

VI.

Pominiem tu wypadki, które w skutku zabiegów księdza Woty nastąpiły, bo z przejętéj tajemnéj korespondencyi margrabiego de Vitry posła francuskiego dworu, i z listu Morsztyna cyframi pisanego, wiele osób skompromitowanych zostało, a kiedy Sobieski na sejmie przedstawił wszystko Senatorom, a zarazem skutki jakie ztąd swobodom rzeczy pospolitéj zagrozić mógą, na ten czas wszyscy odstąpili posła Ludwika czternastego, a Morsztyn nie mogąc usprawiedliwić się, oddany został pod straż wielkiego marszałka Lubomirskiego, oczekując sądu za swe postępki.

W takim stanie rzeczy, nikt na ten czas przyznać się nie chciał do związków przez partyą francuzką uknowanych; Królowa, Jabłonowski wojewoda ruski obecnie hetman wielki, Sapiechowie i inni od wszystkiego umyli ręce, zwłaszcza że Morsztyn niechciał wyjawić klucza tajemnych cyfer, jakiemi list jego był napisany. Sobieski więc odniósł tą razą zwycięstwo nad dumnemi umysłami, chcącemi zgotować mu poniżenie, a wszyscy idąc za jego głosem, postanowili nieść czynną pomoc Austryi, Ottomańską potęgą zewsząd zagrożonéj.

Austrya tysiącami obietnic łudząc Sobieskiego, podsycała jego dumę, i upewniała w mylnie wyrachowanych nadziejach, że dostąpioną koronę i jednemu z swych synów będzie mógł kiedyś przekazać. Rzym błogosławieństwami obsypywał bohatyra, zwiąc go wybranym zbawcą chrześcijaństwa, pieniędzmi nawet ofiarował wspierać, a Cesarz Leopold wszystko z swéj

strony chciał poświęcić, co tylko dostojny teraz z przymierzeniec mógł był zarządać.

Ale Sobieski umiarkowany zawsze w swych żądaniach, odkładał na późniéj dalsze widoki, nie myśląc ani mogąc przypuścić w tenczas, że tak wielkie poświęcenie, odpłacą mu kiedyś inaczéj.

Pod błogosławieństwem Rzymu, z pośpiechem zbierało się zewsząd polskie wojsko, wszyscy śpieszyli pod chorągwie wodzów, a duchowieństwo w każdym kościele napominało wiernych z ambon, że teraz nadeszła chwila, w któréj pomszczą się tylu krzywd, jakie nieraz Turcya rzeczy pospolitéj wyrządziła.

Młodzież biegła z ochotą w bratnie szeregi, z tym większą chęcią, że w świętéj sprawie obrony całego chrześcijaństwa, sam Król bohatyr miał przywodzić walecznym. Nikt już nie myślał dziś o stawieniu jakiego oporu, tylko Ludwik czternasty zaprzysięgłszy nienawiść z in-

néj strony umyślił trapić zewsząd uciśnioną Austryą, aby tym nasycić swą zemstę, zwłaszcza, że nie przypuszczał nigdy, aby Sobieski osobiście udał się pod Wiedeń. *

Oboje Królestwo opuścili stolicę śpiesząc do Częstochowy, gdzie Jan trzeci zamierzył złożyć swój hołd téj osobliwszéj cudami słynącéj patronce polskiéj, aby pod Jéj błogosławieństwem i szczególną opieką rozpocząć dzieło wyswobodzenia zagrożenéj stolicy Austryi.

Wszyscy też możni Panowie spieszyli w ślad za dworem, bo pobożność cechująca panów polskich, była budzącą dla każdego, a kościół na Jasnéj Górze, od tylu wieków istniejący, był ucie-

* Margrabia de Vitri zapewnił Ludwika XIV, że gdy by Polska niosła czynną pomoc Austryi, sam Sobieski nie może osobiście przywodzić wojsku. Odmalował go bowiem jako zbyt otyłego, dręczonego ciągle podagrą, i że z téj przyczyny niepodobno wystąpić mu w pole. Wieść tę rozgłoszono po wszystkich gazetach i dworach, a cała Europa przekonaną była, iż Cesarz Leopold otrzymał tylko pomoc Polaków, nie zaś dzielne ramie ich Króla.

(: Życie Jana III s tro: 132)

czką prawowiernych w każdém ważniejszem zdarzeniu życia.

Jenerał Kątski któremu Michał Odrowąż oddany był w szczególną opiekę, zwlec jeszcze musiał swój odjazd, a młodzieniec korzystając z tego czasu, zamierzył użyć go dla spełnienia czynu, ciążącego mu kamieniem na sercu.

Postanowił on wszelkiemi środkami w swéj mocy będącemi, ułatwić ucieczkę wielkiego podskarbiego Morsztyna, który z jego choć mimowolnego przyczynienia się uwięziony został. Tą myślą zajęty Michał Odrowąż, przyrzekł sobie wykonać plan przezeń ułożony, pewnym będąc: że staranie to, pomyślny uwieńczy skutek. Przebrany w jezuickie suknie, widział się z Morsztynem, obadwaj wspólnie uradzili, co w takiem zdarzeniu należy czynić, a skutkiem tego w krótce wielki podskarbi, rozstawnemi końmi dobiegł granicy, aby dostać się do Francyi, gdzie według swego życzenia stanął szczęśliwie.

Środki przedsiewzięte tak dobrze obmyślane, iż ucieczka ta długo zostawała w tajemnicy, i w tenczas dopiero powzięto ślad o niéj, gdy wszelka pogoń daremną była, a sprawca tego nie mógł być wykryty.

Zadowolniony tak pomyślnym skutkiem Odrowąż towarzysząc zasłużonemu jenerałowi, wyjechał znim do Częstochowy gdzie już dniem wprzódy stadło Królewskie stanęło.

Po raz pierwszy ujrzał ten święty obronny gród o którym słyszał tyle opowiadań i razem podziwiał rycerskie czyny zakonników, co z wszelkiem poświęceniem się pod wodzą swego przeora Kordeckiego, acz przy nader szczupłéj załodze, potrafili obronić tę twierdzę od Szwedów.

Wojowniczym duchem przejęty młodzian, żądzą sławy pałającym okiem spoglądał na oczerniałe mury, działami nasrożone, podziwiął całą malowniczą okolicę, i serce żywiéj biło mu

w piersiach bo w duszy jego tkwiły wszystkie wspomnienia, w szczęśliwéj pamięci wyryte.

Najpierw pobiegł do świątyni, korzyć się przed patronką Polski, i przyjętym przez wszystkich pobożnych zwyczajem obchodząc na klęczkach, po za cudownym obrazem umyślnie na ten cel zrobione przejście, zasyłał gorące modły z tą wiarą i zaufaniem, iż one wysłuchanemi zostaną.

Czyste serce nie zna rządz ani dumy, dla tego też modlitwa jego na tem ograniczała się tylko: iż zasyłał błagania za schorzałym kapłanem swym dobroczyńcą, chcąc wyprosić mu powrót do zdrowia, to znów błagał o względy dla opuszczonéj matki, i westchnął za swą siostrą, którą miał za utraconą już na zawsze.

Gdy spojrzał potem na obraz téj Królowéj nieba i ziemi, drogiemi kamieniami jaśniejącéj, zdawało mu się, że widzi uśmiech na niebiań-

skiéj twarzy, a w duszy jego zasłała jakaś radość, nie dająca wytłómaczyć się.

Na drugi dzień do wyjazdu Króla przeznaczony, zapowiedzianą była uroczysta wotywa, do któréj sam monarcha miał służyć, i odebrać miecz, dla zgromienia barbarzyńców poświęcony.

Michał korzystając z téj chwilowéj bytności, zwiedził wszystkie miejsca starożytnéj świątyni, a nadto z kilku towarzyszami postanowił odbyć przechadzkę do przyległego Olsztyna, gdzie na wyniosłéj górze sterczały mury, ręką czasu i nieprzyjacielskiemi najazdami zniszczonego zamku.

Stary żołnierz nazwiskiem Mroczek, wysłużony jenerała Kątskiego wiarus, podjął się być przewodnikiem, a zarazem przyobiecał, opowiedzieć na miejscu różne historye tego zamku, jeśli przyrzekną wziąść dla posiłku kilka butelek starego miodu, który wzmacnia wiekiem stępiałą pamięć.

Odrowąż i jego koledzy chętnie przystali na to, i niebawem też ruszyli wszyscy w drogę, aby korzystać z chwili pięknego dnia, zwłaszcza że było daleko jeszcze do wieczora.

Nim wzniosła się świątynia na Jasnéj Górze, ręką Władysława Księcia Opolskiego dla czci Rodzicy Boga dzwigniona, już pierwéj baszty Olsztyna zasłaniały granice przeciw najezdniczym sąsiadom.

Ruiny olsztyńskiego zamku sterczące na stroméj skale, a pod niemi licha na piaszczystym rozłogu usadowiona zaledwo kilkadziesiąt domów licząca mieścina, przedstawiały obraz upadku niegdyś obronnéj różnemi wspomnieniami pamiętnéj twierdzy.

Cztery pasma wapiennych skał, rozciągają tutaj swe skrzydła, a każda znich ma swoją nazwę, od kształtu, lub jakiego zdarzenia przez mieszkańców nadaną. Najwyższe nazywają pustelnica, drugie sokole, trzecie równo ległe od

tych położone zowią poprzecznemi, a najniższe karłami.

W pustelni jest jaskinia, majestatyczne dzieło przyrody; wiedzie tam ciasne w skałach krzakami zarosłych przejście, i tylko przy blasku łuczywa, przez usłużnych przewodników niesionego, zwiedzić ją można. Towarzyszy tu grobowe milczenie, ciemność, i blask łony smolnego drzewa, która przed okiem zdziwionego przechodnia, dzieła przyrody wspaniały widok roztacza. Z olbrzymiego, w dziwne kształty zagiętego stropu, od wiele wieków spadają nieustanne krople, które zamieniając się w kamień, tworzą stalaktyty dziwne kształty i formy przybierające. Boki jaskini od starości i dymu zczerniałe, przerażeniem i jakąś czcią majestatyczną przejmują zdziwionego wędrowca, budząc w duszy różne domysły, i próżne dociekania, kto mógł wykuć te lochy podziemne chyba ręką bajecznych centaurów wyciosane.

Wędrowcy nasi zwiedzili to wszystko, podziwiali te cuda natury, zawierające w sobie tyle z ubiegłych wieków tajemnic.

Kiedy już weszli na szczyt skały i obejrzeli resztki murów, z obronnego zamku pozostałych w ten czas osiwiały Mroczek usiadłszy na kamiennym odłamie, i pociągnąwszy dobrą porcyą starego miodu, zaczął mówić następną swym towarzyszom opowieść.

To małe miasteczko jest rodzinną mą kolebką, i pacholęciem będąc, nieraz biegałem po tych skałach wdzierając się do staréj wieżycy, za wybieraniem gniazd ptasich. Za owych czasów, bo minęło już lat pięćdziesiąt, sam zamek stał jeszcze opierając się zniszczeniu, ale nie był zamieszkiwany, tylko słaba załoga w nim była, dopóki Szwed mszcząc się za nie zdobycie twierdzy na Jasnej Górze, nie zniszczył wszystkiego, i dziś stoi kościotrup z potężnego nie-

gdyś olbrzyma. Wiele trzebaby mówić o tem, bo i wiele krwi wsiąkło w te wapienne skały! Ale jeno ważniejsze rzeczy opowiem waszmościom, a najprzód bohatyrski czyn osiwiałego w bojach Kaspra Karlińskiego, niegdyś dowódzcy téj twierdzy.

Opowieść tę słyszałem z ust mego ojca, który natenczas walczył przy jego boku, a wypadek ten żywo tkwi w méj pamięci, jak gdybym sam widział go na własne oczy.

Wszyscy zwrócili ciekawą uwagę, a Mroczek pociągnąwszy znów starego miodu, zaczął mówić z wojennym zapałem.

Po śmierci Stefana Batorego, pankowie nasi zaczęli myśleć o nowéj elekcyi, a że stronnictwa podzielone były, przeto każda partya popierała swego kandydata. Zamojski zpowinowacony z domem zmarłego króla, łącznie z innemi magnatami postanowił na zawakowany tron powołać, ród idący od Jagiełłów, i ofiarował go Zygmun-

towi III, w religii rzymsko katolickiéj wychowanemu. Zborowscy zawzięci Zamojskiego nieprzyjaciele, za to iż wyrok śmierci spełnił na ich bracie, silni przemożną partyą, obrali Arcy Księcia Maksymiliana Rakuskiego.

Obiedwie strony ogłosiły wybranych przez siebie Królów, wysełając zarazem do nich posłów mających nalegać o spieszne przybycie, albowiem na tem jedynie zależało wszystko.

Rakuscy żołnierze chcąc mocą oręża utrzymać swego Księcia, na tronie wkroczyli w granicę Polski, a wodz ich postanowił zdobyć, Olsztyński obronny zamek, doświadczonemu, w bojach Kasprowi Karlińskiemu przez wielkiego hetmana powierzony. Starzec nie dał się uwieść różnym dawanym mu obietnicom, oświadczając iż nie złamie swéj dobréj wiary dla prawego Króla Zygmunta III poświęconéj, odmówił poddania twierdzy, wszelki zaś napad siłą odeprzeć postanowił. Chcąc przełamać jego upór, Rakusza-

nie podstępem niegodnym wojowników zabierają piastunkę wraz z jedynem dziecięciem Karlińskiego, i postawiwszy ją na czele swych szyków, osłonieni tą tarczą śmiało postępują pod mury. Zatrzęsło się serce żołnierza i wodza na widok ukochanego syna, nastąpiła chwila w któréj uczucia ojca przemagały powinność dowódzcy; ale była to krótka z samym sobą walka.... Karliński porywa lont, zapala armatę, a załoga zagrzana tak strasznym przykładem, sypie grad kul na oblegających, i ze sromotą odpędza ich od warowni.

— A biedne dziecie? zapytali wszyscy razem.

— Poległo!.... odrzekł ponurym głosem Mroczek, ale zamek ocalał a z nim honor i powinność wodza, wiernego swemu Monarsze! *

Nastąpiła głucha cisza, na twarzach rycerzy malowała się boleść i wszyscy szeptali cichą

* Wypadek ten ściśle historyczny miał miejsce 1587 r.

modlitwę za duszę starca, który wyrzekł się uczuć ojca, aby włożonym nań obowiązkom zadosyć uczynił.

Mroczek podumawszy chwilę wziął znów butelkę do ręki, i głosem nieco wzruszonym przemówił.

Zmówiliśmy pacierz za duszę bohatyra dowódzcy spustoszałéj dziś warowni, teraz jako żołnierze spełnijmy toast rycerski na jego cześć!.... Niech żyje wiecznie w pamięci prawy mąż, świętéj pamięci Kasper Karliński, pokój jego duszy!... i w milczeniu pociągnął kilka łyków, a ocierając zwilżone usta, i pokręcając wąsa, dodał daléj z wesołą twarzą.

Teraz powiem wam inne ciekawe o tym zamku rzeczy, słuchajcież waszmość z uwagą, a każdy kto znas zdrów wróci do domu, będzie mógł korzystać z méj mowy, jeśli zapragnie zostać bogatym.

W tych podziemnych lochach w skale wykutych zakopane są ogromne skarby, ale ich bies pilnuje! Pastuszek wszakże jeden, bogobojny chłopiec, ręką najwyższéj opatrzności wiedziony wziął z nich udział, jak to zaraz zobaczycie.

Śród tych ruin i skał zabłąkała mu się owca od stada; bojaźń kary obudziła w nim odwagę, i począł usilnie szukać swéj zguby; aby zaś drugi raz w jedném i tém samém miejscu straty nie szukał, po drodze którą przebywał kładł na znak krzyże. Takim sposobem postępując z pieczary do pieczary, napotkał na żelazne drzwi, za któremi brzęk łańcuchów, a razem i bek swéj owcy posłyszał. Bojaźń kary silniejszą była nad wszelkie inne uczucia, a radość z wynalezienia zguby dodała chłopcu odwagi do uchylenia ciężkiéj zapory. przedzielającéj go od zbłąkanéj owcy.

Przestąpiwszy próg jaskini, przerażanie ogarnęło pasterza, bo ujrzał szatana, a po rogach

i warkoczu które wyglądały z pod kapelusza, niemniéj po koźlich nogach, domyślił się że to jest nieprzyjaciel rodu ludzkiego.

Diabeł w czerwoną kurtkę ubrany, siedział na beczce złota, a paląc sobie fajkę, trzymał owcę za uszy, ona zaś przestraszona, miłosiernym głosem beczała.

Pasterz nie tracąc odwagi, śmiało spojrzał panu diabłu w oczy, mówiąc doń: oddaj mi waszmość moją zgubę.

Szatan reześmiał się szyderczo, i puścił z ust kilka kłębów dymu, tak że w całéj pieczarze zrobiło się ciemno. Chłopak wszakże nie ustraszywszy się tém bynajmniéj, powtarzał swe nalegania tak uprzejmie, że zły duch ujęty jakąś grzecznością wyrzekł.

— Podobałeś mi się dzieciuchu dam ci dowód méj łaski, nie tylko iż utraconą owce odbierzesz, ale pozwalam ci zabrać sobie tyle złota, ile tylko unieść zdołasz.

Pastuch niedał się więcéj prośić, ale jął kłaść dukaty w torbę zawieszoną na plecach, daléj w połę od sukmany, a kiedy już obładował się porządnie, bo i za pazuchę i w kapelusz nie przepomniał nasypać, bies tak mu rzekł przy rozstaniu:

— Będziesz teraz bogaty, ale pamiętaj, nigdy tego złota nie obracać na pożytek innych, bo zubożałbyś niedługo; wychodząc zaś z tąd, nie obejrzyj się, bo zguba twoja byłaby gotową.

Chłopak święcie wykonał rozkaz, żył potem w dostatkach, i za radą proboszcza któremu zwierzył się wszystkiego, poczynił znaczne dla kościoła dobrodziejstwa, i duże złote wotum złożył przed cudownym na Jasnej górze obrazem. *

Młodzi rycerze zdumieni tą opowieścią spojrzeli po sobie, a Mroczek korzystając z ich uspo-

* Opowieść ta ściśle osnuta jest na miejscowem podaniu.

sobienia, znów pociągnął miodu, i tak daléj rzecz prowadził.

Krąży jeszcze między ludem podanie, że niejaki Maciéj Borkowicz wojewoda poznański, za popełnione nadużycia i morderstwa, przez Kazimierza wielkiego na głodną śmierć skazany, i do pieczary pod wieżą zamkową wrzucony, tu życia dokonał. On to po okropnéj śmierci miał tajemnie z pomocą szatanów przenieść ukryte swe skarby, które przed okiem ludzkiem są niewidzialne. Człowiek tylko w zupełnéj niewinności będący jak ów pastuszek, mógłby osiągnąć te bogactwa, lub też ten kto dostanie kwiatu paproci. Ale jedno i drugie trudne jest na świecie, zatem skarby te, nie prędko wyjdą z rąk szatańskich.

Działy się tu i okropności, bo za Szwedzkiéj wojny, którą tak dobrze pamiętam, niemało ludzi znalazło śmierć w tych podziemnych pieczarach, gdzie napróżno przed srogiem nieprzyjacielem

szukano schronienia. Mordowano dzieci, starców, niewiasty, i piękne dziewice, bo Szwed okrutny nikomu nie przebaczał w swéj zemście.

A teraz zmówmy wszyscy pacierz, za te niewinne ofiary, skazane na poniesienie męczeńskiéj śmierci.

Z odkrytemi głowami klęcząc na gołéj skale rycerze zasyłali modły do Boga; w téj saméj chwili ozwał się donośny głos dzwonu z jasnogórskiéj wieży na Anioł Pański, i nasi wędrowcy opuścili te smutne zgliszcza, nieme świadki minionéj potęgi, wielkich czynów, a razem wspomnień, które na dnie wiecznéj nocy, zagrążone być powinny.

VII.

WARSZAWA była teraz niemal opuszczonym grodem, bo wszystko spieszyło za królewskim dworem; spokojna tylko część mieszkańców oddawała się zwykłemu codziennemu zatrudnieniu.

Niejedna matka w cichości roniła łzy z obawy czy jéj syn wróci szczęśliwie z téj wyprawy, wielu obiecywało sobie różne korzyści z odniesionych zdobyczy, owo każdy według swojego usposobienia i własnego interesu, smucił się, lub weselił, jak to niemal zawsze bywa w każdem podobnem zdarzeniu.

Zmierzch zapadł, cichość zaległa ulice stolicy, nie turkotały już koła poszóstnych karet, ani rozlegał się tentent kopyt koni zbrojnych rycerzy, i wielkie miasto podobne raczéj było do grobu umarłych, taki w niem spokój panował.

Dla bezpieczeństwa wszystkie domy zaraz z wieczora zamykano, tylko migocące światełka w oknach przekonywały, że czuwają w nich mieszkańcy. Winiarnie i inne z trónkami sklepy, także pustemi były, bo ci co dosyć skwapliwie odwiedzali je, już nie gościli w stolicy, a tak, panowała wszędzie posępność, w głuchą i ponurą jednostajność zmieniona.

W starem mieście przy ulicy Gołębiéj, cisza ta jeszcze wydatniejszą była, a ciemność nocy, tym smutniejszą nadawała barwę posępnym, wyniosłym kamienicom, różną strukturą zbudowanym. Jedna z nich, nawet śród białego dnia miała posępniéjszą barwę, i większą część trwo-

żnych mieszkańców zdaleka omijała ją w nocnéj porze.

O domu tym dziwne krążyły wieści, albowiem zajmowany był przez takie osoby co nie komunikowały się z nikiem, lub też dziwacznym sposobem życia, dawały różne względem śiebie domysły.

Bliższych wszakże szczegółów nikt nie mógł wyjaśnić, bo stróż tego domu mieszkający wraz z swoją małżonką nadole, nikogo tam niewpuścił, dopóki przez małą kratkę w żelaznych drzwiach zrobioną nie przekonał się, że to jest znajoma mu osoba; każdy zaś obcy, na zawsze miał wzbroniony wstęp w te progi.

Ciekawi sąsiedzi nieraz pragnęli zbadać tę tajemnicę, ale naprózno silili się, bo wszelkie przedsiebrane ku temu środki, zawsze okazały się w końcu bez użyteczne.

Niektórzy utrzymowali, iż słyszano tam niekiedy przerażające jęki, z ogromnych piwnic

wychodzące, nikt wszakże niemógł tego odgadnąć, jak tylko to jedno, że człowiek czarno ubrany, obszerną opończą otulony, wychodził z tamtąd najczęściéj wieczorem, i potem wracał znów sam jeden. Wielu miało go za czarownika lub jaką osobę ukrywającą się przed okiem śmiertelnych, niemogącą znieść blasku słońca, albowiem wszystkie okna z wewnątrz, ciemno pomalowane były.

Niekiedy widziano też wchodzących tu członków jezuickiego zgromadzenia, których dom ten był własnością, a z téj przyczyny, każdy ukrywał w sobie różne domysły, nie powierzając je innym, z obawy iżby potężny zakon, nie doścignął ich znaną swą zemstą.

Kilku mieszkańców dostrzegło także, iż śród ciemnéj nocy, zajeżdżała duża kryta bryka w kształcie wojennego furgonu zbudowana, i że wyjmowano z niéj jakieś paki, lecz co w nich było, nikt nie mogł odgadnąć.

Jednakowoż oswojono się z temi nocnemi tajemnicami, a pobożni sąsiedzi zwolennicy jezuickiéj pokory, mieli sobie niejako za występek w dociekaniu tego, co ci wszechwładni kapłani, starannie ukrywali przed ich wiedzą.

W owych czasach, gdzie władza duchowna była tak wielką i nieograniczoną, a kara lub klątwa przez nią rzucona, potępiała każdego w obliczu wszystkich, łatwo można wnosić: że nie każdy chciał narażać się nie tylko na utratę dobréj sławy, lecz nawet aby publicznie z ambony nie był wytknięty, i tem samem doczesnie na zawsze zgubiony.

Abyśmy lepiéj ten tajemniczy dom poznali, wejdźmy do niego.

Mocne żelazne drzwi z wiszącym przy nich młotkiem bronią wstępu, a duży z wewnątrz umieszczony zamek dopiero w tenczas otwierał odzwierny, gdy naprzód przekonał się, iż osoba wejść tam pragnąca ma dozwolony wstęp, w prze-

ciwnym zaś razie, głuchym był na wszystko. Małe zakratowane okienko w środku tych drzwi umieszczone, służyło do postrzeżeń, a nawet były umówione znaki, uderzenia młotkiem, po których poznawany był przychodzień.

Stary odźwierny, od wielu lat na tych usługach będący, wraz z poważną wiekiem małżonką zamieszkiwał dwie duże izby na dole wilgocią przesiąkłe, i od ciągłego dymu okopcone.

Czas biegnący mu leniwo, przepędzał na śpiewaniu godzinek, żona zaś jego zajmowała się porządkiem domu, i dostarczała codzienny posiłek dla kilku lokatorów, w zupełném zapomnieniu od świata tu żyjących, którzy dobrowolnie skazali się na doczesne cierpienie, aby kiedyś wieczne zbawienie pozyskać. Gotowała im zawsze jedną i tę samą postną strawę, roznoszoną na porcye przez jéj małżonka, a jednostajnem przyzwyczajeniem tak nawykła już do tego, iż zupełnie była obojętną na wszystko, co się tu

działo, pilnie wykonywając rozkazy męża i innéj jeszcze osoby, z którą w krótce zapoznamy się.

Odźwierny ten był wysokiego wzrostu, śilnéj budowy ciała, a choć długa śiwa broda spadała mu na piersi, i takiéż włosy na ramiona, przecież żylaste jego ręce, poświadczały o sile gotowéj poskromić jeszcze śmiałego zapaśnika.

Miał tylko jedno oko, albowiem drugie stracił już oddawna, a kilka głębokich szram na twarzy, okazywały ciężkie blizny, twardem żelazem zadane; ponury wzrok i głos chrapowaty najśmielsze serce przejąć mógł bojaźnią i tą własnie wyższością pośiadał zupełną władzę nad swą połowicą, zawsze jego rozkazom uległą.

Śilny ten atleta, niosąc w ręku podłużny owalny koszyk, w którym wewnątrz poustawiane były jedna na drugiéj, gliniane miseczki, wyszedł ze swego mieszkania na korytarz, a zapalona mała latarka wisząca mu u pasa, oświe-

cała całą ponurą twarz, i zwilgotniałe mury tego domu. Leniwym krokiem wszedł na kamienne schody, na piętro prowadzące, nad któremi świecił dużemi literami napis: *Dom pokuty*.

Obszedł pierwsze i drugie piętro, gdzie swoim stołownikom pozostawił wydzielone im porcye, i z obojętnością spojrzał na koszyk, w którym na samym spodzie pozostała jeszcze cynowa miska, takąż pokrywą, szczelnie zamknięta.

— Ha jeszcze jeden (: wyrzekł w myśli do śiebie:) ale strach mnie przejmuje na jego widok, i lękam się zawsze gdy mi daje spełnić kubek napoju, bo nie chciałbym usnąć na zawsze! Ale uczony mistrzu, drogo bym sprzedał me życie a za najmniejszem podejrzeniem, musiałbyś pójść razem zemną, bo bez ciebie było by mi tęskno jednemu!... I śięgnął ręką za piersi, gdzie nosił zawsze ukryty hartowny sztylet.

Tak rozmyślając wszedł na trzecie piętro, a przy-

szedłszy przed drzwi, postawił kosz na ziemi, zasztukawszy klamką dwa razy.

Na to hasło, w krótce klucz zawiercił w zamku, uchyliły się podwoje, i mignęła głowa, długiemi czarnemi kędziory otoczona.

Duze, wypukłe, ciemne oczy, błyszczały jak dwie pochodnie, nad niemi zaś obwisła szeroka brew, nadawała większą jeszcze ponurość, oliwkowéj zwiędłéj twarzy, i czyniła wydatniéjszém wysokie czoło, w szerokie bruzdy porane. Na wierzchu téj głowy, tkwił jezuicki mały birecik, całe zaś wysmukłe, szczupłéj budowy ciało, okrywał długi surdut pod samą szyję zapięty, mający wiele do sukienki tych zakonników podobieństwa.

— To ty Mateo, wyrzekł złą wymową trzeciego piętra mieszkaniec; czy masz mi co donieść?

— Przyniosłem wam uczony mistrzu wieczerzę, bo już nadeszła zwykła godzina.

— Ha, zajęty będąc pracą, zapomniałem o posiłku ciała..... wejdź więc kochany gladja-

torze, z twojéj łaski wzmocnie moje siły, i pokrzepie umysł do dalszych zatrudnień.

Odźwierny wszedł ustawił misę na przykrytym stole, potem wyjął z kieszeni flaszę wina, a stanąwszy przy samych drzwiach oczekiwał w milczeniu na dalsze rozkazy.

Mistrz jak go nazywał, zasiadł do owego posiłku, nalał sobie szklankę wina, spełnił ją duszkiem, i zdiąwszy pokrywę, zaczął z apetytem zajadać przyrządzoną mu z drobiu potrawę.

Pod ten czas Mateo śledził wszystkie sprzęty w nieładzie po izbie rozrzucone, i uwagę jego zajęły szczególniéj różne nieznane mu naczynia, na dużym stole poustawiane. Rozłożone tu było całe laboratorium chemiczne, a pootwierane słojki, przyrządzone retorty, i mały piecyk żelazny w którym tliły rozżażone węgle, zrodziły w odźwiernym ciekawość odgadnięcia, co one mogą zawierać, i do jakiego służą użytku. Ale żądzę tę wnet poskromił w sobie, bo gdy

spojrzał na mistrza, napotkał jego bystry przenikliwy wzrok, oznaczający: iż wyczytał mu z twarzy tę próżną ciekawość, jaka zrodziła się w nim w téj chwili.

Podejrzliwy Włoch umiał zawsze w ciągłéj bojaźni utrzymywać tego człowieka, zyskując wyższość siłą moralną osiągniętą, bo w fizycznéj nie mógł się z nim mierzyć. I tak: gdy był w weselszem usposobieniu, za pomocą elektryczności, magnesu, lub doświadczeń chemicznych zdumiewał jego nieoświecony umysł, i tym sposobem utwierdził w nim przekonanie, że wszystko co zechce zdziałać potrafi.

— Widzę iż zajmują cię preparata stojące na stole, radbyś może przeniknąć tajemnicę, wyższą nad twe pojęcie? przemowił Włoch, a szatański uśmiech migał mu na ustach.

Cóżby mnie prostakowi przyszło z tego, uczony mistrzu..... odrzekł z udaną pokorą odźwierny.

— Ha! ha! ha! mój ptaszku znam ja się na tobie, nie taki jestes głupi jak się wydajesz, gdybym chciał, potrafię nawet odgadnąć co myślisz w téj chwili.

— Przekonany jestem o wszechmocnéj potędze waszego rozumu, a ja nieoświecony człowiek to tylko wykonywam, co poleconem mi bywa.

— O ho! nie ukrywaj się przedemną ptaszku.... ja mógłbym wypowiedzić ci całą historyą twego życia, a to utracone oko, te blizny na twarzy?....

Zdumiał się odźwierny na tę mowę, i w chwili gdy chciał odpowiedzić, zakołatano we drzwi, a Włoch szybko powstawszy, z niejakiem pomięszaniem zapytał się, kto tam?

Odpowiedź we włoskim języku odebrana wyprowadziła go z niepewności, niebawem otworzył drzwi na roścież, i ukazała się w progu szczupła postać w jezuicką sukienkę przybrana.

Włoch ścisnął uprzejmie podaną mu rękę, odźwierny zaś niskim do saméj ziemi ukłonem powitał przybyłego gościa.

— Przynieś tu gąsior wina..... rzekł wielebny ojciec, a gdy potulny sługa, poszedł spełnić ten rozkaz, mówił daléj po Włosku. Niespodziewałeś się mistrzu, abym był dziś u ciebie; ale naglące rzeczy przywołały mnie.... zaraz pomówiemy o tém.

— Słucham rozkazów waszéj wielebności (: z udaną pokorą odrzekł Włoch:) a wszystko święcie wykonam jak zawsze.

— Znamy się dobrze z téj strony..... obadwa niemożemy narzekać na siebie. Jnteres zaś który bliżéj łączy nas, jest tak śilnem spojony ogniwem, iż ludzka moc rozerwać go niepotrafi. Tylko święta inkwizycya w Madrycie!.....

— Po co te wspomnienia...... (: przerwał porywczo mistrz, jakby jadowitem żądłem ukąszony:) przecież ja wiem, jaką winienem wa-

szemu zakonowi wdzięczność, który ocalił mnie do śmierci, i srogich mąk tortur.....

— Przepraszam cię za mimowolne słowo.... wiemy o twojem poświęceniu się, a nadto w rękach naszych posiadamy zakład, nakazujący ci posłuszeństwo...

— Prawda...... (: z schylonem czołem odrzekł Włoch:) jeszcze przez dwa lata jestem waszym niewolnikiem.... a potem, wszystko skończone już między nami!

— Tak..... umowa ta jest świętą, w niczem naruszoną nie będzie, a przyszłość, całym blaskiem zaświecić ci jeszcze może. Jesteś młody, wszystko przed tobą!....

Pojedziesz w dalekie zamorskie kraje, tam, będziesz mógł swobodnie używać bogactw....

Przybycie odzwiernego zmieniło tok rozmowy, a gdy ten zadanem skinieniem odszedł, wielebny ojciec nalawszy szklanki złotym nektarem, usiadł

na przeciw Włocha, i obadwaj w milczeniu spełnili toast.

Jeden tylko mistrz niewiedział, za czyją śmierć lub zdrowie!

— Jakże miewają się nasi pokutnicy?.... z szyderczem uśmiechem na twarzy zapytał jezuita.

— Ciągle postępuję z niemi według odbieranych zleceń. Jednych wzmacniam, innych osłabiam, tak aby w oznaczonym czaśie spełnił się wydany na nich dekret!....

— Ha! dobrze.... zobaczemy skutek! Pokaż mi swój dziennik, podług niego przekonam się oprawdzie.

Włoch podał oprawną dużą książkę, a wielebny ojciec przeglądając ją z uwagą, robił dopiski na marginesie.

Jezuita w milczeniu skończył tę pracę wychylił potem kilka szklanek wina, a gdy obadwaj biesiadnicy, zarumienili już nieco swe policzki, tak począł mówić do Włocha.

— Don Alwaresie, wykonywasz wszystko z zupełném mem zadowolnieniem, kontent jestem z twego postępowania i zakon mój nie zaniedba ci winnéj wdzięczności. Poświęcenie się twoje zrodziło zaufanie, dla tego umyśliłem powierzyć ci ważne zlecenie, a jeżeli dokonasz je, umowa nasza poprzednia, uważaną będzie za ostatecznie wykonaną. Mów więc czy chętnie przystaniesz na tak korzystny warunek?

— Przystaję.... odrzekł Włoch, a w jego spojrzeniu malowała się wewnętrzna radość, która nie uszła ibadawczego wzroku, wytrawnego wpoznawaniu ludzi zakonnika.

— Dobrze.... daję ci mą rękę na znak dotrzymania, a teraz słuchaj uważnie co ci powiem. Jutro równo ze dniem opuścisz te mury, udasz się pod Wiedeń, w ślad za polskim obozem i doręczysz Królowi jegomości pismo polecające cię na chirurga do opatrywania rannych. Tam zapoznasz się z młodzieńcem, któremu oddasz ten

list od jego matki, staraj się obudzić w nim przyjaźń ku sobie i zaufanie. Jest to człowiek śmiały, odważny, pośiada kilka języków, po włosku zaś mówi jak rodowity Jtalianin. Będziesz go miał ciągle na oku, podniecaj w nim wojenny zapał aby go narażić na śmierć. On bowiem powinien tam zginąć, a jeżeli oszczędzą go kule i tureckie jatagany, użyjesz wiadomego środka, aby więcéj niezawadzał nikomu nadrodze!.... Gdy jedno lub drugie nastąpi, zdéjm zjego szyi złoty medalik, i zabierz wszystkie papiery, jeśli ma jakie przysobie. Skoro osiągniesz ten cel, posłannictwo twoje skończone.... wracaj, a nie minie cię dane przyrzeczenie. Podczas twéj nie obecnośći ja sam zastępować cię będę; to złoto posłuży na wszelkie wydatki, a zaczem jutrzenka błyśnie na niebie, już na ulicy oczekiwać będą konie, które powiozą cię w wiadomą drogę. Ale,... jeszcze jedno zlecenie. Pojedziesz przez Kraków, tam wstąpisz do naszego

klasztoru, i oddasz przełożonemu list, który ci zaraz napiszę, a przytem zabierzesz pudełko z literą T..... które razem doręczysz.

Włoch zapewnił że święcie wykona wszystko, a jezuita napisał taki bilecik.

Numer trzy.... zadługo zostaje na naszem chlebie.... trzeba pozbyć się darmozjada, zwłaszcza już maniakować zaczyna, względem zmienienia zrobionego testamentu. Należy strzedz go pilnie, aby znikiem nie miał związków na zewnątrz, mianowicie zaś, izby wiadoméj kobiecie z ulicy Grodzkiéj..... niedozwolić widzenia się. Niech przepędza czas na modlitwach i pokucie; do codziennéj zaś strawy, dosypać mu po łyżce proszku z załączonego tu opieczętowanego pudełka. To antidotum sprawi pomyślny skutek, i odéjmie chęć wydostania się na wolność.

Wkrótce jezuita pożegnał Włocha życząc mu szczęśliwéj podróży i powrotu, a kiedy już zniknął odgłos jego kroków, Don Alwares za-

paliwszy magiczną latarkę, stanął przy oknie na ulicę wychodzącem, zapewniwszy się że już żelazne drzwi zamknięto, wyszedł ostrożnie na korytarz.

W najgłębszéj ciszy zeszedł na sam dół po kamiennych wschodach, a potem wsunął się do obszernych piwnic, daleko ciągnących się pod tym domem.

Wilgotne zimno i różne wspomnienia w téj chwili doznawane, zmieniły rysy jego twarzy śmiertelną bladością powleczone, lecz wyjęta z zanadrza, kryształowa flaszeczka, wnet orzezwiła zmysły, a śmiałym krokiem postępował daléj. Minął dwoje żelaznych drzwi, i dopiero przed następnemi zatrzymał się, a wydobywszy z kieszeni duży klucz, otworzył nim zardzewiały zamek.

Mając wzniesioną ponadgłową latarkę, przeszedł wdłuż wilgotnego muru, i stanął przed tajemnie zrobionym, jemu tylko wiadomym zna-

kiem. Potem wydobył z kieszeni małą żelazną łopatkę, osadził ją na trzonku drewnianym i począł kopać wilgotną pod swemi stopami ziemię.

W krótce wydzwignął czarną dębową szkatułkę dwie stopy długości mającą, a za jéj odemknięciem, ukazała się tafla szkła puł łokcia długości, ścisle trzema takiemiż taflami w kwadrat ołowiem spojona. Wyjął to wszystko, położył na ziemi, a z chciwością krokodyla sięgnął ręką na spód szkatułki, gdzie był mały skórzanny woreczek jedwabnym sznurkiem związany. Otworzył go przed oczami błysnął mu migotliwy połysk drogich kamieni które przeglądał chwilę, dla zapewnienia się czy są nię naruszone, a potem schował je szybko do kieszeni.

Teraz wziął latarkę, postawił ją przed kwadratowemi taflami, tak iż światło padając prosto padle dawało widzieć co wewnątrz pod tem szczelnem zamknięciem znajdowało się.

Była to sztucznie zabalsomowana głowa cudnych rysów twarzy kobiety. Zdawało się, że snem uśpiona lada chwilę odemknie powieki, by znich odżył błysk ognia, nazawsze pod czarną rzęsą zamarły.

Włoch zdziką tłumioną zemstą patrzał na pośmiertny profil, służyć mogący za model do najpiękniéjszego obrazu. Szatańska złość malowała się na jego ustach, a w oczach pałała jakaś zemsta bojaźnią przéjmująca!

Dumał tak chwilę, jak gdyby układał nowe plany zbrodni, z zimną w nieczułéj duszy rozwagą, a daléj szepnął w myśli te słowa.

— Tak Włoch odpłaca zdradę!... tu w tym lochu pogrzebana tajemnica razem z innemi, na karb jezuickiego sumienia. Kiedyś jeśli natrafią na tę głowę tak starannie zabalsamowaną, dziwić się będą sztuce, która razem zemną zéjdzie do grobu! Jest to moja tajemnica, owoc

długich doświadczeń, nikomu więcéj znaną nie będzie.

I miotając srogie przekleństwa, znów wszystko zachował w to samo miéjsce, a zatarłszy, wszelki ślad swego występku, zpodobną ostrożnością jak pierwéj, wrócił do mieszkania.

Rzucił wzrokiem na oddane mu listy leżące nastole; oglądał je skwapliwie, ale nic niedociekł bo szczelnie zapieczętowane były.

Jeden miał adres do Króla, drugi do przełożonego w Krakowie, a na trzecim napisane było do JmPana *Michała Odrowąż* przy JW. Jenerale Kątskim zostającego.

VIII.

Obóz turecki na równinach Wiednia rozłożony, zajmował okiem nie przéjrzaną przestrzeń, po śród któréj zdaleka lśniły się złocone puł księżyce, zwykłe znamiona wyznawców alkoranu. Stanowił on jakby ogromne miasto, gdzie zbytek a nawet przepych do najwyższego stopnia posunięty zdumiewać mógł każdego, bo krocie różnobarwnego wojska zalegały ogromną przestrzeń, począwszy niemal od gór Kalembergu.

Przeszło dwa kroć stotysięcy namiotów stało rozpiętych na równinach Wiedeń otaczających, i stanowiły one większe jeszcze drugie wojen-

ne miasto. W środku tego obozu, stał wielkiego Wezyra Kara Mustafy karmazynowy namiot do obszernego pałacu podobny. Na szczytach jego załamków l'śniły się złocone gałki i puł księżyce, wewnątrz zaś oprócz mnóstwa urządzonych komnat dla niego, seraju i całéj służby, były jeszcze sztuczne z fontannami ogrody, a pośród nich latały różnobarwne papugi, i biegał struś, jak gdyby ta zbytkowna siedżba, na długie lata trwać miała.

W całym tym obozie, panowała dziwna mięszanina różnych narodów, poddanych lub hołdujących porcie. Oprócz samych muzułmanów, byli tu Grecy, Siedmiogrodzianie, Wołosi, Arabowie i Tatarzy.

Po zatemi namiotami, jak czarny punkcik na widnokręgu sterczały mury Wiednia, poprzedzane okopami i redutami, z których niemal ciągle zionoł ogień na oblężoną stolicę Piekne przedmieście spalone lub umyślnie przez Staremberga

zbużone, by nie dawały łatwiéjszego przystępu nieprzyjacielowi, przedstawiały widok ruiny i zniszczenia.. Wokoło widać było samo spustoszenie, a dym kłębami wijącego się po ziemi prochu, zdaleka dolatywał, przejmując postrachem wszystkich okolicznych mieszkańców, którzy opuścili swoje mienie, tułając się po lasach, aby choć życie uratować przed tak grożnym nieprzyjacielem.

Bogaty namiot wielkiego wezyra z kilku dziesiąt komnat złożony, zarazem obejmował w sobie jego seraj; każda odaliska miała oddzielne swą służbę, oddzielne komnaty gustownie we wszystko opatrzone, tak że nawet przy nich ogródki ze sztucznemi fonatannami urządzone były. Wiednéj ztych komnat śiedziała rzadkiéj piękności, młoda niewiasta.

Jéj twarz ściągłych rysów, ożywiał lekki rumieniec, przebijający się przez delikatną płeć śnieżnéj białości. Nosek greckiego składu, usta

wążkie, małe, karminowego koloru, szyja pełna i ramiona owalnie zaokrąglone, przedstawiały zachwycający biust pięknéj kobiety. Wysokie wydatne czoło ocieniały krucze włosy wsztuczne warkocze uplecione a dwa ciemne łuki brwi otaczały oprawę dużych podłużnych oczu, jakiemi jedynie Włoszki poszczycić się mogą.

Zawój z pąsowego kaszemirskiego wysokiéj ceny szalu, wdelikatne przeguby ułożony, otaczał jéj małą główkę, a reszta ubrania składała jedwabna także pąsowa materya, złotem i brylantami przetykana. Wysmukłą kibić obejmował wązki pas dużemi perłami wdesenie przeszywany i podobnież obuwie błyszczało na zgrabnych podłuznych nóżkach.

Drobne jéj rączki zajęte były w téj chwili układaniem rozmaitych brylantów, które po rozrucane leżały wsafianowem pudełku sofie najpiękniéjszéj roboty, perskim dywanem pokrytéj.

Jednakże Zelima owa ozdoba całego seraju Kara Mustafy, znudzona poniekąd otaczającemi ją bogactwami, niechętnem okiem poglądała na te błyskotki, które wniczem zaspokoić nie mogły serca i myśli, jakie w małéj głowie błądziły. Chociaż wszystko co otaczało dwór wielkiego Wezyra, ubiegało się w pozyskaniu jéj względów, wszakże Zelima obojętna nate nadskakiwania, wniczem nie okazywała radości, owszem na jéj wyniosłem czole, niejako wypiętnowany był ciągły smutek.

Pośród tego dumania, weszła niewolnica murzynka, zaufana powiernica Zelimy. Na jéj widok rozjaśniło się oblicze pięknéj odaliski, z wymuszonym uśmiechem na twarzy, piérwsza przemówiła.

— Jakież przynosisz mi wiadomości moja Artimo?

Niewolnica tajemniczo obéjrzawszy się w oko-

ło usiadła przy jéj nogach, i cichemi słowy szeptała do ucha pochylonéj Zelimy.

— Najczystsza dziewico na ziemi, jutro będzie okropny dzień. Wielki Wezyer nasz pan, kazał obnosić się w lektyce po całym namiocie, bo ma być przypuszczony szturm ażeby zdobyć Wiedeń, i zagarnąć wszystkie znajdujące się w nim bogactwa.

Zelima wzdrygnęła się na te słowa jéj członki przebiegło nagłe konwulsyjne drżenie, a po małéj chwili uspokojeniu się z tego wzruszenia, znów odrzekła nieco lękliwie.

— Więc dotąd nieprzyszły spodziewane dla Wiednia posiłki?

— Od kogóż ma przyiść im pomoc, kiedy w koranie jest podobno napisano, że wyznawcy Machometa ogarną wszystkie kraje, które chrześcianie posiadają dotąd.

— Przecież Artemo jest Bóg miłosierny, który o najmniéjszym nawet robaczku pamięta, dla

czegożby więc ów wszechmocny Stwórca miał dopuścić aby wyznawcy Jego świętéj wiary nazawsze pognębionemi zostali?

— O Zelimo i ja wierzę w wszechmocność tego Boga, bo ty ukazałaś światło moim oczom, ale mówią że chrześcianie za wiele zrobili już złego, i teraz tenże sam Bóg zesłał na nich taką plagę.

— Niewierz temu Artimo, bo Bóg chociaż karze ludzi, za grzechy, ale i wtenczas nie usuwa jeszcze swego miłośierdzia, jeśli tylko zpokorą ucieka się kto pod jego ojcowską opiekę. A ja ileż razy upadła bym, gdyby nie ta wszechmocna ręka, co strzeże mnie nie widomie i łaska Najświętszéj Panny?

Niewolnica zwidoczną bojaźnią słuchała téj śmiałéj mowy Zelimy, bo przytłumionym głosem odrzekła pośpiesznie.

— Moje drogie dziecie, mój ty pączku najpiękniejszéj róży, nie mów tak w tém miéjscu,

bo jedno posłyszane słowo, mogłoby mnie i ciebie zgubić na zawsze. A chociaż wszyscy okazują ci tu największą cześć i szacunek, wszakże ci sami byliby pierwszemi do zgubienia ciebie, gdyby tylko choć cień jaki mogli upatrzyć do potępienia. Twoje rywalki dziś opuszczone i zapomniane od wielowładnego ich pana, radeby w jednéj chwili pozbyć się ciebie, gdyby to było w ich mocy. Wiész przecie dobrze Zelimo, że po dwakroć osłoniłam cię od nieochybnéj śmierci, którą w napoju zadać ci chciały te przewrotne niewiasty, chcąc znów tym sposobem utracone serce Wezyra pozyśkać.

— O Artymo pełna szlachetnych uczuć kobiéto, ty jesteś drugą matką dla mnie i Bóg kiedyś niezapomni ci tego, co uczyniłaś dla biédnéj sieroty. Wszak i ciebie wydarto z rodzinnego kraju, zaprzedano w niewolę, w któréj zestarzałaś się, ale nie wydarto ci pięknych uczuć

serca, które są najdroższym skarbem na ziemi. Ty jedna tylko zrozumiałaś mnie, ty zarówno podzielasz mój smutek, bo wiész sama z doświadczenia, jak gorzki jest los tego, kto najdroższe osoby utraci na zawsze. I ja równie jak ty nie ujrzę już pewnie rodzinnéj ziemi, matki... brata... i niegdyś znajomych!

Daléj z zbytniego wzruszenia nie mogła już mówić Zelima, bo łzy jak perły biegły po jéj licach.

— Uspokój się lube dziécię (:łagodnie mówiła Artima, tuląc ją do swych piersi:) wszak zawsze mówiłaś, że trzeba miéć nadzieję w Bogu, a dlaczegoż w téj chwili opuszcza cię odwaga?

— Bo z tego co powiedziałaś mi, wnoszę sobie, że wszystko pójdzie inaczéj, nie tak jak przeczuwało me serce. A jesli wezmą Wiedeń, zwyciężą chrześcjan, wtenczas Artimo przepadłoby już wszystko, i ja pochylę czoło jak ów

kwiatek, który musi uschnąć, jeśli nie odświeży go rosa i ożywcze promienie słońca.

— Piękny fijołeczku, ty nie uschniesz na obcéj ziemi, ujrzysz jeszcze swą rodzinę, będziesz szczęśliwą. Tak przepowiadam ci Zelimo, a wieszcze moje słowa nie zawiodą nigdy. Wszak wiadomo ci, że przyszłość nie jest mi obcą, bo nieraz sam wielki Wezyr przekonał się o tém, i dla tego też nieograniczone zaufanie zyskałam. Ale podeszła w wieku Artima nic już nie może spodziewać się dla siebie, i dawno przestałam też pragnąć, aby jeszcze choć raz w życiu ujrzéć dziewicze lasy mojego kraju. Bo po tylu latach, mogłażbym znaleźć tam kogo z mojéj rodziny, które albo podobny mému los spotkał, lub wymordowali ich biali ludzie. Tego tylko pragnę, aby przy tobie dni moje zakończyć i widziéć twe szczęście, a wtenczas powiem ci z dumą: spełniła się moja przepowiednia!

— O jak dobrą jesteś Artymo! Tém więcéj

pragnę teraz aby dozwoliło mi niebo odwdzięczyć za twe życzenia.

— I tak wiele uczyniłaś już dla mnie szlachetna Zelimo, bo wzgardzoną niewolnicę przypuściłaś do poufnéj przyjaźni, na któréj niezawiedziesz się nigdy. Ja życiem mojém gotowabym dni twoje okupić, a nie mając już nikogo dla siebie na téj ziemi, tobie tylko usługi moje pragnę poświęcić. I wierzaj mi Zelimo, że w tych dniach cały los przyszłości roztrzygniętym będzie, a jeśli zwyciężą chrześcjanie, wtenczas...

— I my obiedwie oswobodzone będziem... cicho dorzuciła Zelima.

— Bądź więc dobréj myśli, i nie zachmurzaj smutkiem swojego czoła moje dziécię, a ja starać się będę dziś powziąść pewniejsze wieści, czy nadeszła spodziewana odsiecz dla Wiednia.

Grzmot dział coraz powtarzający się spowo-

dował, iż Zelima wysłała Artymę dla powzięcia wiadomości, czy nie zaszło co nowego, lub też nie nadciągnęły spodziewane oblężonym posiłki.

Znów młoda odaliska pozostała sama z swojemi bolesnemi myślami, a za każdym gromem dział, czułe jéj serce doznawało trwożliwych wrażeń bojaźni o los chrześcjan, mający się wkrótce roztrzygnąć.

Upadła na kolana, zasyłając w cichości korne modły do władcy wszech świata, aby łaską miłosierdzia swego odwrócił burzę, zapowiadającą zniszczenie· Potém wyjąwszy z za gorsu mały złoty medajonik z wizerunkiem matki Zbawiciela świata, przyciskała go do ust, a dwa strumienie łez biegnąc po jéj delikatnéj twarzy świadczyły o wzruszeniu, które opanowało piękną odaliskę.

Niezadługo powróciła Artima, w rysach jéj twarzy jaśniała niezwykła radość, jakąś ważną wiadomość zwiastująca.

Na widok swéj powiernicy, szybko powstała Zelima, a ocierając zwilżone łzą oczy, utkwiła nieme spojrzenie, nie śmiejąc zapytać się sama o to co z radością usłyszéć by chciała: ale Artima nie dała oczekiwać, bo z uśmiechem na ustach, szepnęła jéj do ucha.

— Pojmano jeńca polskiego, i od niego dowiedziano się że mężny król polski nadciągnął już z swojém wojskiem dla oswobodzenia Wiednia.

— A gdzież ten jeniec Artimo, czy nie mogłabym widziéć go?

Niewolnica wyraźnie zatrwożona temi słowy jeszcze ciszéj jak wpiérw odrzekła.

— Otoczony strażą oczekuje na powrót Wezyra, który osobiście sam badać go będzie. Wiész zaś zwyczaje, że żadnéj odalisce nie wolno jest widziéć chrześcjanina, tém bardziéj przeto ciekawość twoja ściągnąć by mogła nietylko podejrzenie, ale jeszcze i gorsze jakie następstwa.

— Prawda Artimo, zapomniałam, że równie jestem niewolnicą, która ślepo posłuszną być winna, jeśli nie chcę aby spotkał ją smutny los postradania życia. Dla tego muszę powstrzymać mą ciekawość, ale ty przynajmniéj staraj się jeszcze dowiedziéć co więcéj, bo wiész ile te wszystkie szczegóły obchodzą mnie bliżéj.

— Dobrze moje dziécię, tylko nie smuć się, bądź więcéj wesołą jak dawniej, zwłaszcza że w całém wojsku objawia się dla Wezyra niechęć, a tém bardziéj teraz gdy mają pewną wieść iż król polski, osobiście z swemi hufcami pospieszył dla dania pomocy oblężonym. Widzisz więc, że słowa moje coraz większą przybierają pewność, a za dwa dni zobaczysz co jeszcze nastąpi!...

— O! dałby to Bóg Najwyższy... cicho wymówiła Zelima, a w tém powtórzone śród obozu okrzyki, oznajmiały im o powrocie wielkiego wezyra, ich pana i władcy.

Artima wybiegła znów w chęci przysłużenia się nowemi wiadomościami, a w téj saméj chwili w lektyce niesiono Wezyra do namiotu.

Wracał on z przeglądu, gdzie osobiście przekonywał się jak daleko postąpiły podziemne okopy pod mury Wiednia, któremu cios ostatecznéj zagłady zgotować zamierzył:

Wszyscy dowódzcy zebrani byli przed namiotem, bo dziś odebrać jeszcze mieli ważne do spodziewanego szturmu rozkazy. Głuchym okrzykiem powitali Wezyra, a on wychodząc z lektyki groźném okiem przebiegł po ich twarzach, chcąc niejako wyczytać z nich wewnętrzne umysłów usposobienie. Wsparty na ramionach dwóch paszów Alepu i Sylistryi, którzy pomogli mu do wyjścia, szedł dumnie z podniesioną głową i baczniéj spoglądał na dowódzcę janczarów mając go od niejakiego czasu w podejrzeniu ku sobie.

Wielki Wezyr Kara Mustafa Kulugli, cho-

ciaż przyciśniony wiekiem, jednak odznaczał się jeszcze całą rześkością, a duma wielowładnie w niém panująca wsparta pewnością zawojowania chrześcjan, malowała się na wydatném czole i w śniadych rysach ubielonym włosem otoczonych. Jego małe przenikliwe oczy, migotliwe, wieloznaczące spojrzenie rzucały w około, a dwa łuki nie ze wszystkiem posiwiałych brwi, nadawały twarzy pochmurny wyraz.

Większa część dowódzców chociaż w duszy nie nawidziła Wezyra, wszakże srogość jaką okazywał dla każdego z podwładnych, wraziła w nich pomimowolne uszanowanie, jedynie postrachem utraty życia wywołane. Dla tego też każdy z nich z największą napozór uległością schylał swą głowę przed polubieńcem Sułtana, choć w sercu gotował mu zgubę nie mylną.

W tém przybliżył się Kara Machmed pasza Budy, jeden z faworytów Wezyra, i z najwię-

kszém uszanowaniem objawił mu, iż schwytany został jeniec polski.

Na te słowa, Kara Mustafa wyżéj jeszcze podniósł głowę i spojrzał w przeciwną stronę, gdzie pod mocną strażą stał ów mniemany jeniec.

— Ha! dam na nim przykład méj surowości (:odrzekł dumny wezyr:) nasycę mą zemstę nad tym niewiernym, ale przedewszystkiem sam wybadam go w obec dowódzców na wojenną radę wezwanych. Każ aby w tém celu przyprowadzono go tutaj.

Pasza pobiegł wykonać rozkaz, a zebrani dowódzcy szli w najgłębszém milczeniu opodal za Wezyrem, spoglądając niekiedy znacząco na siebie, zwłaszcza ci co w tajemném porozumieniu zostawali z sobą.

Piérwszy za Karą Mustafą postępował Wezyr Sylistryi, przed nim równie jak przed wielkim Wezyrem noszono trzy buńczuki; obok zaraz szedł Ibrahim pasza Beglerbej Budy ośm-

dziesięcioletni starzec największy ówczesny wojownik, dowódzca jazdy Spachów, Wołochów i Tatarów, a razem skryty wielkiego Wezyra nieprzyjaciel. Nieco opodal za niemi zdążało wielu paszów różnych prowincyi a na samym ostatku szedł sam jeden Selim Gerej han krymskich Tatarów.

Była trzecia z południa godzina, słońce przyświecało w całym blasku, a jego złociste promienie odbijały się o szczyty namiotów, przepychem bogactw jaśniejących.

Z obydwu stron umilkły śmiercią zionące działa, zaległa jakby grobowa cisza a na wszystkich twarzach widać było zniechęcenie i skryte jakieś przeciw woli wielkiego Wezyra ułożone zamiary.

Szpaler przez janczarów sformowany prowadził do Kara Mustafy namiotu całym zbytkiem wschodu jaśniejącego, a wonne przez niewolników poustawiane kadzidła, zdaleka aromaty-

cznie przenikały powietrze dymem prochu przesycone.

Szereg niewolników z schylonemi ku saméj ziemi czołami, z rękami oburącz na piersiach założonemi, oddał pokłon swojemu panu i władcy, a Wezyr nie rzuciwszy nawet spojrzenia na ten tłum skinieniom jego posłuszny, wszedł dumnie przez podjęte zasłony do obszernéj komnaty, bogatemi perskiemi kobiercami zewsząd przybranéj.

Na samym środku jakby w kształcie tronu stała ustawiona sofa, dywanem wielkiéj ceny pokryta a poboczne wezgłowia drogiemi kamieniami świeciły. Kara Mustafa usiadł wschodniem zwyczajem na owéj sofię, obok niego z jednéj i drugiéj strony stanęli dorodni wiekiem dwaj synowie, a dalej szerokiém półkolem uszykowała się cała starszyzna koleją według swych dostojeństw.

Wielki Wezyr jedną ręką głaszcząc swą si-

wą brodę, drugą zniechcenia oparł na bogatym tkwiącym mu u pasa kindżale a powiódłszy w około groźnym wzrokiem przemówił:

— Zgromadziłem was tu w około siebie nie dla tego aby zasięgnąć zdania, bo każdy mój rozkaz święcie wykonanym być musi, a kto śmiałby oprzéć się temu, głową swoją przypłaci tę zuchwałość, ale z uwagi, iż pomiędzy wa. mi są tacy, którzy zazdroszcząc mi wszystkiego, knują w cichości niegodne zamiary, by osłabić ducha walecznego wojska.

Zniewolony więc jestem oświadczyć w imieniu powierzonéj mi przez Sułtana władzy, że postanowienie moje zdobycia Wiednia jest niezmienném i żadna ludzka siła oprzéć się temu nie potrafi. Uporne to miasto zamienię w perzynę i tém pomszczę wyrządzoną nam zniewagę; w miejsce zruconych naszych półksiężyców, staną tureckie meczety, a tę ziemię przez niewier-

nych zamieszkiwaną, wyznawcy świętéj wiary proroka dzierżyć i uprawiać będą.*

Na chwilę zamilkł wielki Wezyr i na niektóre podejrzane mu twarze rzucał przenikliwe spojrzenie, dla wybadania jakie wrażenie zrobiła ta mowa. Ale wszyscy tu zgromadzeni stali w niemém milczeniu, nikt najmniejrzém nawet skinieniem nie objawił swéj niechęci. Po małym więc przestanku, ciągnął daléj dumny dowódzca.

Ci wszyscy, którzy okażą ślepe bez granic moim rozkazom posłuszeństwo, niech pewni będą zlania na siebie wielkich łask, a bogactwa w Wiedniu nagromadzone dostaną im się w udziale. Ja dobrowolnie zrzekam się przypadającéj na mnie części; i wszystko oddam dla tych, co z całym poświęceniem się za wiarę na-

* W Dyaryuszu wiedeńskiéj wyprawy jest wyjaśniono dla czego były półksiężyce na wieżach wszystkich kościołów w Wiedniu.

szego proroka, nieoszczędzą swéj osoby. Gdy zdobędziem to przedmurze chrześcjaństwa, reszta zdać się musi na łaskę, a po same granicę Polski, zatkniemy sztandar zwycięztwa.

— Ale wielki Wezyrze (: przemówił śmiało Ibrahim pasza beglerbej Budy :) wojska sprzymierzone nadciągnęły w pomoc oblężonym, na ich czele stoi niezwyciężony król polski, i jakże zdołamy oprzéć się jego sile?

Kara Mustafa błyszczącym od gniéwu wzrokiem zmierzył od stóp do głowy śmiałego wojownika, a powściągając swe przeciw niemu oburzenie, odrzekł porywczo.

— Czy już stępiał w pochwie twój jatagan, i z wiekiem zabrakło ci męztwa, że dziś lękasz się garstki, którą za jedném spotkaniem zgniotą nieprzejrzane okiem nasze zastępy? Po cóż więc przyszedłeś tu ze mną, czy aby siedziéć bezczynnie, lub haniebnie od zwycięztwa uciekać?

— Posiwiałem w bojach (: z dumą podnosząc głowę odrzekł Ibrahim :) a szereg moich zwycięztw któremi odznaczyłem się w mojém życiu, poświadczą czyny, jakich dziś niepotrzebuję wyliczać. Ale i ja należę do wojennéj rady, bo tak nasz wielki Sułtan rozkazał, dla tego wielki Wezyrze musisz mojego głosu wysłuchać!

— Mów!... groźnie odrzekł Mustafa, i zaciął zęby z zbytniego uniesienia, ale po chwili dodał: pamiętaj iż przy mnie najwyższa władza, i że tylko ja jeden w imieniu Sułtana tu rozkazuję!

— Wiém co należy takiemu wodzowi, i jakie każdy z nas winien mu posłuszeństwo. Wszak razem postarzeliśmy się w bojach, a choć los tobie powierzył dowództwo, ja przecież mam w radzie mój głos wsparty długoletniém doświadczeniem. Jak dawniéj na radzie dywanu, tak i teraz na samym placu boju, nie zmieniłem mojego zdania, a nie moja w tém wina, że inni

mniéj przewidujący wszystko, nie chcieli słuchać zdrowego zdania.

— Zuchwały!... chcesz więc ubliżać samemu Sułtanowi? A w téj saméj chwili zerwawszy się z sofy wielki Wezyr, stanął przed nieulękłym Ibrahimem.

— Rozkazy Sułtana mojego pana i władzcy, są świętemi dla mnie, i głowa moja jest na jego skinienie; ale tylko on sam ma prawo do tego, jeśli przyśle mi swój hatiszeryf. Wszakże nie zasłużywszy sobie na to, myślę iż taką śmiercią nie umrę! Grad kul omijał osiwiałą w bojach mą głowę, i ona nie skazana, aby jedwabny sznurek uczynił niememi me usta! Przywykłem zawsze i wszędzie mówić otwarcie jako żołniérz, bo nie znam dworskich intryg ani obłudy, a rozkazy Sułtana szanuję w głębokiéj pokorze.

— Więc cóż masz do zarzucenia przeciw mnie i moim rozkazom?

— Wielki Wezyrze, każesz mi mówić, wykonam twą wolę, racz tylko cierpliwie wysłuchać.

— Dobrze... mów... słucham cię bez uniesień. I znów przybierając spokojną postawę usiadł na sofie, utkwiwszy swój wzrok w pełne powagi oblicze Ibrahima.

— Wodzu, wszak już tak dawno stojemy na tych równinach, a cóż zdziałaliśmy dotąd? Dla czegóż dawniéj nie przypuściliśmy szturmu, nie dopiéro teraz, kiedy nadciągły sprzymierzone wojska?

Ubiegł czas stracony, wojsko długą bezczynnością zniechęcone, zewsząd straszy nas śmiercią głód, i zupełném zniszczeniem zagraża.

— A jakże odrazu chciałeś wszystko dokonać bez oblężenia, zwłaszcza gdy niepłonne były nadzieje, że poddadzą się na naszą łaskę?

— Łudzono cię Wezyrze, a przynajmniéj ja zawsze byłem przeciwny temu. Już od miesią-

ca należało skończyć, zamienić wszystko wperzynę, nie tracić drogich chwil, i nie dać czasu do zebrania się sprzymierzonemu wojsku. Dzis Król polski na ich czele, samo jego imię już szerzy postrach w około, a gdy jeszcze całe wojsko dowié się o tém, odwaga wszystkich odbieży.

— Fałsz!... kłamstwo bezczelne!... przerwał porywczo Wezyr; jak Król polski śmiałby łamać zawarte z nami traktaty?

— Tak jest niemylnie wielki Wezyrze, a jeśli nie wierzysz mym słowom, rozkaż wprowadzić Wołoszyna, którego sam wyprawiłeś na zwiady, bo on właśnie jest tym mniemanym jeńcem którego straże wzięły za przebranego szpiega z polskiego obozu, a od niego dowiész się potwierdzenia méj mowy.

— Ha, wrócił ten Wołoszyn?... więc go wprowadzić.

— Tak wielki Wezyrze: (:odrzekł han tatar-

ski:) jest to ten sam Wołoszyn, który służy w chorągwi Karłaszów pod wodzą Duki hospodara Wołoskiego, a jemu miłościwy panie sam od siebie dałeś tajemne zlecenie.

— Dobrze!... w obec was wybadam go, abyście nie sądzili, że robię jakie tajemnice, i natychmiast dał znak Wezyr, aby stanął przed nim.

Wprowadzono przestraszonego Wołoszyna, który za zbliżeniem się upadł na twarz przed Wezyrem, a gdy ten rozkazał mu powstać, zbliżył się Duka hospodar Wołoski i potwierdził, że to jest ten sam, którego Wezyr wysłał na zwiady do polskiego obozu.

— Mów śmiało tu w obec wszystkich co widziałeś (:przemówił Wezyr:) i czy jest sam Król polski przy wojsku, które oblężonym nadciąga w pomoc.

— Wielki władzco (:schylając ku ziemi czoło, odrzekł Wołoszyn:) wszystko wiernie wypo-

wiem, to co widziałem na własne oczy. Wojska polskie są wielkie, a na ich czele sam Król polski Jan III postępuje, którego nietylko że widziałem, ale mówiłem z nim, i kazał oświadczyć że w niedzielę rano to jest jutro stawi się na śniadanie u waszéj wysokości.

Skoro tylko tłumacz (:bo Wołoszyn nie mówił po turecku:) powtórzył te słowa Wezyrowi, ten odrzekł do wszystkich.

— To podłe kłamstwo!... umyślnie namówili tego hultaja aby mnie bezczelnie oszukać· Ale zaraz dam przykład jak karzę niewiernych. Duko hospodarze, natychmiast każ mu uciąć głowę przed moim namiotem!

Wołoch stał przejęty bojaźnią nie wiedząc jaki nań zapadł wyrok, ale gdy tłumacz objawił mu słowa Wezyra, upadł na ziemię i głośném łkaniem zaczął błagać litości.

Kilku paszów, a między niemi i sam Ibrahim, zaczęli przekładać Wezyrowi, ale wszystko było

naprożno i za chwilę przyniesiono na srebrném półmisku głowę Wołoszyna, dla okazania że rozkaz spełniony został.

Dziki przystępom litości Wezyr, a bardziéj chcąc przejąć większą bojaźnią wszystkich niechętnych ku sobie, wyrzekł z największą obojętnością, rzucając groźne spojrzenie w około.

— Tak ukarzę każdego, kto poważy sprzeciwiać się moim rozkazom! Ja jeden rządzę tu w imieniu Sułtana, wola moja jest nieograniczoną, a za swe postępowanie przed nim tylko odpowiadać będę!— Jutro zdobędziem Wiedeń, na zburzonych murach zatkniemy chorągiew wielkiego proroka, a ty Ibrahimie, który utrzymujesz że Król polski jest na czele sprzymierzonego wojska, sam najprzód rozprawisz się z niemi, i w tym celu przededniem jeszcze zajmiesz szczyty Kalembergu, a ja osobiście przypuszczę szturm do Wiednia. Takie me rozkazy, a biada temu, kto nie wykona ich!

Skinął ręką na znak że już ukończona wojenna rada i poszedł wgłąb swoich nąmiotów, wezwawszy za sobą kilku zaufanych paszów, by im objawić rozkazy, jakim porządkiem mają iść do szturmu.

IX.

Cienie nocy zaległy w około, cisza panowała w tureckim obozie, tylko gdzie niegdzie odzywały się hasła stojących czatów, i niekiedy błysnął płomyk tlących ognisk przy których krzątali się czuwający żołniérze. W ich twarzach widać było bojaźń i przerażenie, bo już poniesiono im rozkazy, że za nadejściem dnia zacznie się bitwa.

Ciche gwary zniechęconych żołdaków, i głód dający im się uczuwać, dosyć jawnie objawiały się wszędzie, a wieści, że Król polski prowadzi mężne hufce tyle razy sławą wojenną okryte,

tém więcéj upewniała, że na tych równinach spotkają ich ciosy tylekroć razy orężem polskim zadane.

Do tych wszystkich wieści w rozmaitych odcieniach przedstawianych, i różnie tłumaczonych, przyczyniało się także nie pomału zniechęcenie do wielkiego Wezyra, który jedynie sam sobą zajęty, dzień po dniu przepędzał w swojém seraju na zabawach i u nog nadobnéj Zelimy błagał o miłość dla siebie.

Z tego wpojono w łatwowierne, ciemne umysły wojska to przekonanie: że Wezyr w zamian za względy pięknéj odaliski, przyrzekł jej, zgubić całą potęgę ottomańską, aby przez to namiętnym swym żądzom dogodzić.

Taki był duch wojska poduszczany przez nieprzychylnych dla Wezyra dowódzców, a słowa te lotem błyskawicy przebiegły wszystkie namioty i ogólną niechęć wywoływały.

— Więc dla jednéj niewiernéj niewolnicy

(:szeptało do siebie żołdactwo:) mamy wszyscy poledz haniebną śmiercią, lub pójść w pęta niewoli? Że ona oczarowała Wezyra, my dla tego mamy znaleść swój grób by nieoglądać więcéj naszych żon i dzieci?

Azaliż tak nakazuje czynić nasz prorok, który mówi w alkoranie, że każdy prawowierny Turek powinien mieć wieczną nienawiść dla chrześcjan! Nie bracia, tak się nie stanie, my nie pójdziemy na rzeż, dla dogodzenia jego żądzom rozpusty!

Aby lepiéj poznać to całe zniechęcenie, posuńmy się ku namiotom Ibrahima paszy beglerbeja Budy, bo tam właśnie wielu dowódzców, korzystając z cieniów nocy dąży do niego, by wspólnie naradzić się, jak teraz czynić im należy.

Ibrahim ośmdziesiąt letni starzec choć przyciśnięty brzemieniem wieku, jednak zachował w sobie z młodzieńczych lat ogień. Jego siwa bro-

da i takież włosy, mile odbijały od rumianéj, zmarszczkami i kilku bliznami okrytéj twarzy, a w oczach długą jeszcze czarną rzęsą pokrytych, przebijał się namiętny ogień syna wschodu, albowiem od młodzieńczych lat, przywykł był prowadzić umiarkowane życie.

Nie zajmowały go uciechy haremu, bo wojenną sławę, tureckie dzianetty, damasceńskie szable i jatagany więcéj przekładał nad wdzięki najpiękniejszéj kobiéty, a dziś choć wiekiem schylony, jeszcze z całą rześkością przywodził jeździe oddanéj mu przez samego Sułtana w dowództwo. Te zalety zjednały mu imię wielkiego wojownika i całe wojsko tchnęło ku niemu niezwykłém przywiązaniem. W nim też pokładało ono największe zaufanie, i dla tego każdy zwracał pilną uwagę na jego postępowanie. Wiedzieli także wszyscy, iż jest w nieporozumieniu z wielkim Wezyrem, ztąd tém więcéj każdy czuł ku niemu ten pociąg, który

zawsze i wszędzie zjednywa sobie prawdziwa z osobistemi zaletami połączona zasługa. Daleki też był od owego okrucieństwa, jakim ciągle odznaczał się Kara Mustafa, owszem był raczéj łagodnym, pobłażającym, niż srogim.

Ibrahim jako prawdziwy Turek, święcie wierzył w proroka i alkoran, nie pijał wina, nie oddawał się żadnym zbytnim uciechom, ale czas zbywający mu od pracy poświęcał czytaniu ksiąg i w nich szukał prawdy mądrości.

Dziś po tak jawném przemówieniu się z Wezyrem, większą czuł potrzebę uciec się do tego chwilowego wytchnienia różnemi wrażeniami znużonego umysłu i zaczém zebrali się doń jego zaufani powiernicy, przerzucał dużą księgę koranu bogato oprawną.

Namiot Ibrahima chociaż nie przedstawiał tego zbytku jaki widzieliśmy u Wezyra, jednakże i tu były rozesłane bogate kobierce, a na sofach poustawiane miękkie wezgłowia. Na

hebanowym stole paliły się w kilku szczerozłotych lichtarzach jarzące świece, a kilka srebrnych fajerek wyrzucały z siebie lekki dymek, powszechnie używanych na wschodzie wonności.

Piérwszy wszedł Selim Gerej han Tatarów, a Ibrahim podając mu rękę, posadził go obok siebie.

— I cóż przyjacielu, czy przynosisz mi jakie nowe wiadomości? łagodnie zapytał się stary wojownik.

— To, że w téj chwili Wezyr otoczony gronem czarownic tatarskich, w ich wieszczbach szuka ratunku dla siebie, i za ich pomocą chce otumanić całe wojsko niezwyciężonego Króla polskiego.

— Ha! ha! ha! (:rozśmiał się Ibrahim:) on tylko zawsze z kobiétami przestaje, i to właśnie przyśpieszy teraz jego zgubę. Dziś niech tryumfuje jeszcze, a jutro...

— My tryumfować będziem z jego upadku,. cicho poszepnął Girej do ucha paszy.

— Jednakże przyjacielu boli mnie bardzo, że jako prawowierny Turek, muszę nastawać na zgubę Wezyra, ale on jest dla mnie nieubłaganym wrogiem, któremu zawsze i wszędzie zaprzysiągłem srogą zemstę! Na brodę proroka zaklinam się, iż muszę widzieć jego poniżenie, bo człowiek ten niezna granic w swéj dumie. I czy wiész Gireju, że on wydarł mi całe szczęście jakie posiadałem na ziemi, a odtąd zaprzysiągłem się przeciw niemu. Zrobiłem ofiarę bo musiałem usłuchać rozkazu Sułtana, a Mustafa, poniżając mnie, wywyższył siebie. Kiedyś byliśmy najszczerszemi przyjaciołmi, nie było nic pomiędzy nim a mną skrytego, ale niewiedziałem ani przewidzieć mogłem, że on będzie mym zdrajcą. Wiedział iż posiadam w swym haremie cudnéj piękości czerkaskę, że ona mojém życiem, mojém wszystkiém na ziemi,

bo i me serce dawniéj umiało kochać Gireju, i nie mogło być obojętném na widok pięknéj kobiéty. Ale czy należało miéć skrytość przed przyjacielem, który zdawał się radość i smutek razem ze mną podzielać? Jednakże ten mniemany przyjaciel korzystając z wolnego wstępu i zaufania, uwiódł moją najdroższą Adinę, by nią ozdobić harem Sułtana. Ona wkrótce z rozpaczy umarła, a on utorował sobie drogę do stopnia Wezyra.

Stary pasza ukrył twarz w swoich dłoniach, dwie łzy ściekły mu po licach, ale wkrótce hamując tę żałość, ocknął się, a ściskając za rękę tatarskiego hana, mówił daléj z zupełną spokojnością.

Daruj mi to chwilowe wzruszenie, bo nie mogę wspomniéć o tém bez doświadczenia wszystkich cierpień na nowo; ale zemsta musi być za zemstę i pewny jestem, że nie odmówisz mi

swéj pomocy. Wszak prawda Gireju, ty dopomożesz zemścić się staremu Ibrahimowi?

— Ręka moja i cała horda jest na twe rozkarzy paszo!

— Słuchaj więc, bo tylko tobie zwierzę się tajemnicy, którą dla nasycenia méj zemsty ułożyłem. Mustafa ma cudnéj piękności niewolnicę, któréj nie oddałby za stósy złota. Ona jest wszystkiém jemu, dla niéj nas i całe wojska gotów poświęcić. Dawno ją chciałem sprzątnąć za pomocą trucizny, ale dotąd nie udały się moje plany. Ten zaś który teraz obrałem pewny jestem że niezawodny będzie. Jutro pośród zamięszania największéj walki, każę wiernym moim ludziom uprowadzić ją podejściem, dla tego bądź blisko Wezyra, aby odwrócić jego uwagę, zwłaszcza iż on wiele na twéj wierności polega. Jakże, dotrzymasz mi słowa.

— Na moją głowę zaręczam... odrzekł Girej wskazując ręką na gardło.

— Dobrze, wierzę ci... a teraz każę przywołać wiernych mi sprzymierzeńców i wspólnie naradzimy się względem uskutecznienia odwrotu, aby jak z jednéj strony nie obudzić ku sobie podejrzeń, tak z drugiéj zasłonić nasze wojsko od zniszczenia, bo Król polski nie lubi żartować mój Gireju.

Han roześmiał się szyderczo, a jego małe oczki błyszczały jak oczy krokodyla, gdy zdobycz dla siebie upatrzy.

Pasza klasnął w dłonie, na to hasło wbiegł czarny niewolnik i na dane skinienie, niebawem wprowadził różnych dowódzców, oczekujących rozkazów Ibrahima.

Długo w noc ciągnęła się ta wojenna tajemnicza rada, mająca na celu zgubę wielkiego Wezyra, a zaledwie han tatarski wrócił do

siebie, zaraz skrycie wyprawił zaufanego powiernika do polskiego obozu, donosząc Królowi jaki jest duch wojska i że on z całą swą hordą będzie tylko bezczynnym widzem walki.

X.

Tego samego dnia, 11 Września w sobotę, wojsko polskie lesistą okolicą przed nieprzyjacielem zakryte, stanęło już w miejscu ogólnego zebrania sprzymierzeńców, zająwszy bez wystrzału nagi szczyt Kalembergu i stary zamek tegoż nazwiska śród tych gór panujący. W miarę nadciągania pułków, zajmowały one wyznaczone sobie stanowiska wzdłuż ciągnących się gór, oraz drogi i ścieżki pośród winnic, wznosząc zarazem bateryę na wszystkich wydatniejszych punktach.

Przykazano wojsku wszelką ostrożność, zabroniono palić ognie, nawet nikomu niewolno było kurzyć tytoniu, a to pod gardłem za przekroczenie. Każdy żołniérz trzymał swojego konia w ręku, karmiąc go jeśli miał czém, a w braku paszy zgarniane liście w lesie znużonym rumakom podawano.

Sam Król wydawał wszystkie rozkazy, zaleciwszy największą spokojność swemu wojsku, aby nie obudzić uwagi niespodziewających się tak nagłego pochodu nieprzyjaciół.

Zachodzące słońce ukazało wojsku obszerną nierówną płaszczyznę otaczającą Wiedeń, a pośród niéj przedstawiał się w panoramie cały obóz turecki, z swojemi złocistemi namiotami, na których u szczytu tkwił półksiężyc, godło ich wiary.

Zdala po za temi namiotami z pośród dymem prochu okopconych murów Wiednia, wybiegała wydatna wieża świętego Szczepana, a

całe to miasto mając zburzone i opalone wszystkie przedmieścia, przedstawiało się oczom jakby olbrzymi kościotrup.

Jan trzeci pomimo znurzenia, osobiście rekognoskował wszystkie punkta, o ile to kończący dzień pozwolił dopełnić. Wszyscy dowódzcy odbierali wprost od niego rozkazy, i stosownie szykowali swe pułki. Nie rozbijano żadnych namiotów dla wojska, bo każdy polecono miał czuwać, aby w przypadku napaści od nieprzyjaciela, wszyscy gotowemi byli do odparcia.

Książę Jabłonowski wielki Hetman, jako prawdziwy przyjaciel Króla, wszędzie towarzyszył mu, a kiedy już zupełnie noc zapadła, dopiéro utrudzony Sobieski powrócił do swojego małego namiociku, który mu w lesie rozpięto.

Nie było w nim żadnéj wygody, tylko materac leżał porzucony na ziemi, mający służyć do krótkiego spoczynku, a cztery ściany z gru-

bego płótna osłaniały od impetu wiatru, z całą gwałtownością wiejącego.

Król znużony całodzienném utrudzeniem, usiadł na owym materacu, a w około niego stali najzaufańsi dwaj powiernicy, Stanisław Jabłonowski Hetman wielki koronny i Matczyński Konjuszy koronny, a razem królewskiego dworu Marszałek.

Jan trzeci oparłszy głowę na ręku, zadumał się nieco; przez ten czas dwaj powiernicy prowadzili cichą pomiędzy sobą rozmowę, a gdy jeden z pokojowców wniósł światło, Król jakby ockniony ze snu, przemówił do Hetmana.

— Przecież z łaski Boga i Najświętszéj matki Jego stanęliśmy już na miejscu niepostrzeżeni od nieprzyjaciół, ale jutro czeka nas ciężka praca.

— Miłościwy Królu toć trzeba do niéj przygotować się wypoczynkiem, zwłaszcza po cało-

dzienném dzisiejszém znużeniu, aby nowych sił nabrać do walki.

— A któż za mnie czuwać będzie mój Hetmanie, kiedy pilnie uważać trzeba, a jeżeli komendant Wiednia nie da nam umówionych znaków?

— My obydwaj z panem Konjuszym wyręczemy w tém Waszą Królewską Mość należycie.

— Dziękuję ci kochany przyjacielu, ale i ty potrzebujesz odpoczynku i przygotowania się na jutrzéjszą z bisurmanami okazyą.

Ale gdy Matczyński powtórzył nalegania, Król przyzwolił, aby on czuwał przed namiotem, i pożegnawszy Hetmana, położył się w ubraniu do krótkiego spoczynku.

Kiedy już oddalił się książę, Matczyński zasiadł przed namiotem na małym taboreciku, po którym zwykle Król wsiadał na konia i z kilku dworskiemi pokojowcami pilnie zwrócił ba-

czność ku stronie Wiednia, zkąd miały ukazać się umówione znaki, od komendanta hrabiego Staremberga.

Głęboka cisza zaległa wokoło, przerywana niedy zamienianem hasłem przez stojące czaty, lub parskaniem koni będących w przygotowaniu na każdy rozkaz wodzów, pośród wiernych walecznych żołniérzy czuwających.

Iskrzące gwiazdy błyszczały jak złote punkciki na niebie, a księżyc z poza drzew i gór ukazał blade swoje oblicze, posuwając się coraz wyżéj nad szczyty wyniosłych drzew kalembergskie góry otaczających.

Konjuszy Matczyński jeden z najzaufańszych powierników Króla i nigdy nieodstępny jego towarzysz siedząc na taborecie przy samych drzwiach królewskiego namiociku, przerzucał w ręku paciorki różańca, odmawiając ciche modlitwy, kiedy po godzinie oczekiwania wybiegła

raca, puszczona z wieży świętego Szczepana, i rozwidniła w téj stronie ciemny horyzont nieba.

— Miłościwy Królu, już piérwszy znak ukazał się; cicho ozwał się Konjuszy, niechcąc przebudzić Króla jeśli zasnął, i nieprzerywać mu wypoczynku.

— Ha, więc wiedzą że już przebyłem Dunaj; odrzekł Król czuwający dotąd.

Niezadługo ukazał się drugi znak, a gdy Matczyński oświadczył to Królowi, on odpowiedział: to wiedzą, żem od taborów ruszył. A kiedy o trzecim sygnale uwiadomił konjuszy, natenczas Król jakby mu spadł ciężki kamień z serca, wymówił z uniesieniem radości: niech będzie Bóg pochwalony, to już o tém wiedzą, że tu na tém miejscu z wojskiem znajduję się.

Potém rozkazał Król podać sobie ekcytarz, a nastawiwszy go na godzinę trzecią po północy, położył blisko siebie, i już spokojnie zasnął utrudzony całodziennem znużeniem.

Matczyński rozkazawszy pokojowcom mieć najpilniejszą baczność na każde skinienie wielkiego bohatyra, sam poszedł przekonać się czy rozstawione czaty pilnie czuwają nad bezpieczeństwem, drogiéj mu osoby Króla, a zapewniwszy się, że wszystko jest w należytym porządku, wrócił znów na swój taborecik. Okryty węgierską burką wsparł na ręku ociężałą głowę i wkrótce sen skleił jego powieki.

Nastawiony ekcytarz zaczął dzwonić, król przebudzony zawołał:

— Chłopcy, jest tam który?... a gdy żaden głos nie odezwał się, Król nieco głośniéj powtórzył wołając po imieniu na swego faworyta, pokojowca Djakowskiego, który okryty burką siedział przy samych drzwiach namiociku, aby był na piérwsze zawołanie: hej Mikołajku a chodź że waść tutaj.

Ocknąwszy się z głębokiego snu utrudzony

chłopczyna, wbiegł natychmiast mówiąc: jestem na rozkazy Waszéj Królewskiej Mości.

— Zaspałeś chłopczę, nie słyszałeś ekcytarza (Król z łagodnością przemówił do swego ulubieńca) jak daléj tak będziesz czuwał przy mnie, to nas obydwóch Turcy w niewolę zabiorą, wpiérw zaczém opamiętamy się. Idźże teraz pobudź księży kapelanów, żeby się do mszy gotowali, a z bębnów niechaj zrobią mensę, pod tym dużym dębem co tu zaraz stoi przy moim namiociku i rozbudź Matczyńskiego, bo i on zasnął pewnie z różańcem w ręku.

— Jestem i czuwam Miłościwy Królu, (:odrzekł wchodząc w téj chwili Konjuszy:) a dobry Monarcha klepiąc go po ramieniu i pokręcając wąsa, co oznaczało, że był w dobrym humorze, przemówił z uśmiechem.

— Toć waszmość lepszy żołniérz od Mikołajka, prędzéj byś mnie obronił od napaści téj dziczy. A jakże tam na świecie?

— Wiatr dmie okropny, miłościwy Królu, wprost od tureckiego obozu, i podobno Wezyr jako wielki czarownik puścił na nas takie licho, aby łatwiéj mógł otumanić wszystkich.

Król znacząco spojrzał na ulubieńca, zadumał się przez chwilę, a potém wskazując na obrazek Rodzicy Boga zawieszony w namiociku, przed którym gorzała lampka oliwą nalana, odrzekł z wrodzoną sobie powagą.

— Ta Najświętsza Panna będzie nam obroną przeciw wszelkim czarom Wezyra, i ona doprowadzi nas do zwycięztwa.

I w téj saméj chwili wielki bohatyr ukląkł i zaczął odmawiać poranne modlitwy, których nigdy choćby przy największém zatrudnieniu nie opuszczał. Konjuszy także poszedł za tym przykładem, i odmówiwszy krótką modlitwę, wyszedł cicho z namiociku, by nie przerwał modłów pobożnemu Królowi, i w różne strony wysłał do dowódzców bliżéj stojących z uwiado-

mieniem, że mogą zebrać się do Króla, by razem z nim być przytomnemi, mającéj się odprawić świętéj ofierze.

Przez ten czas na zielonéj murawie pod rozłożystym dębem ustawiono bębny wzięte od piechoty. Dwóch ogromnych pajuków z pochodniami w ręku, przyświecało téj skromnéj obozowéj uroczystości religijnéj. W największéj cichości urządzono mensę zaraz obok namiociku Króla i różni wodzowie zaczęli zbierać się w gromadkę i podając sobie bratnie ręce do uścisku pozdrawiali się wzajemnie.

Jeszcze Król nieskończył modłów w swym namiociku kiedy wierny jego Matczyński wszedł ostrożnie, a za nim ostrożniéj jeszcze wsunął się mężczyzna po turecku ubrany.

Na jego głowie tkwił turban w sztuczne przeguby ułożony, krótka pąsowa kurtka naszywana złotemi taśmami, opięta była gładko na kształtnéj kibici a takiegoż koloru szerokie sza-

rawary spadały na czerwone rosą przesiąkłe bóty. Z jednéj strony u ściśniętych pasem bioder zawieszony był krzywy jatagan, a z drugiéj błyszczący kindżał, i dwa w srebro oprawne pistolety, rzemykiem przez plecy przewiązanym spojone. Twarz pełną, wydatną, ogorzałą, w kolor oliwkowy wpadającą, zdobiła czarna krótko przystrzyżona broda, i takież długie obyczajem tureckim zakręcone wąsy, cała zaś śmiała postawa oznaczała człowieka nieposledniéj zręczności, odwagi i siły.

Konjuszy stał w milczeniu nie chcąc przerywać Królowi, ale niedługo czekał, bo Jan trzeci opierając się na swojéj szabli, która w téj chwili służyła mu za podporę, powstał, a odwróciwszy się dla zobaczenia kto przyszedł, w jednym momencie dobył błyszczący oręż, chcąc rzucić się na owego Turka, w mniemaniu, że uniknąwszy podczas ciemnéj nocy baczności roz-

stawionych czatów, wkradł się w jakim zbrodniczym zamiarze.

Nadzwyczajna umysłu przytomność, odznaczająca zawsze Sobieskiego, nieodstąpiła go w téj chwili, a wzniosłszy miecz do góry, zawołał po turecku groźnym głosem.

— Na kolana poganinie!... i wyznaj po co tu przyszedłeś?

To wszystko działo się tak szybko niemal w jednéj sekundzie, iż Konjuszy nie mógł uprzedzić Króla o tém, co jego serce wielką radością napełnić miało.

Turek upadł na kolana przed wielkim bohatyrem i w ojczystym języku, przemówił z rozrzewnieniem od zbytecznéj radości.

— Toć ja Kulczycki miłościwy Królu, prawy chrześcijanin i najwierniejszy sługa.

Wielki wódz, jakby silną iskrą elektryczną ugodzony podskoczył z radości, a podnosząc

schylonego u swych nóg odważnego młodzieńca, wyrzekł ze łzą w oczach.

— Wielki Boże! salwowałeś wiernego mi sługę, niechże ci będzie cześć i chwała za tę radość, którą w téj chwili me serce doznaje.

A kiedy przeszły ich te piérwsze wzruszenia, Król rozkazał Matczyńskiemu przywołać księcia Hetmana Jabłonowskiego, aby i on jako piérwszy jego przyjaciel, podzielał z nim radość, i był świadkiem wieści, które odważny Kulczycki przyniósł z Wiednia od komendanta hrabiego Staremberga.

Matczyński wyszedł spełnić dany mu rozkaz a Król przemówił daléj do Kulczyckiego.

— Opowiédz że mi teraz mój wierny sługo rzetelnie cały stan rzeczy, w jakiém położeniu znajdują się Wiedeńczycy?

— Miłościwy Królu, według danego mi zlecenia przebyłem w tym stroju cały obóz turécki nie będąc przez nikogo zaczepiony, i wczoraj

w południe stanąłem przed bramami Wiednia. Skoro tylko dałem się poznać kto jestem i od kogo przybywam, natychmiast wpuszczono mnie, i zaledwo mogłem przecisnąć się do samego komendanta, tak mnie wszyscy oblegali i ściskali, nazywając swym zbawcą, że im przyniosłem wiadomość, iż wielki, potężny Król chrześcjański przybył osobiście uwolnić ich od nieochybnéj zguby. Następnie krótkie pismo Waszéj Królewskiéj Mości wręczyłem hrabiemu Staremberg. Ucałował je kilkakrotnie, przyciskał do serca, i mówił przy mnie do obecnych jenerałów. Król polski to nasz zbawca, nasz oswobodziciel od Boga zesłany. Potém rozpowiedziałem mu wszystko co Wasza Królewska Mość rozkazałeś mi oświadczyć, aby nie upadli na duchu, i gdy dziś szturm przypuszczony będzie do obozu, aby od miasta zrobili silną wycieczkę, dla zrządzenia potrzebnéj dywersyi. Komendant przyrzekł świę-

cie spełnić ten rozkaz, inna w nim teraz zawrzała otucha, wszędzie powstał niesłychany zapał, a wielu wznosiło ręce do Boga, śląc modły za pomyślność Waszéj Królewskiéj Mości. Lotem błyskawicy jeden drugiemu podawał tę radośną wiadomość, a niezadługo lud upadły na siłach i wycieńczony głodem biegł do świątyni pańskich, zasełać modły do Boga, uważając to za prawdziwy cud, zwiastowany im w chwili ostateczności, albowiem dziś mieli kapitulować, bo wszelkie środki obrony okazały się już bezskutecznemi, zwłaszcza, że Turek podminować miał całe miasto, chcąc wysadzić go w powietrze. Głód do najwyższego stopnia okropności doszedł, chleba za żadną cenę nie można dostać oddawna, pospólstwo wyłapało nawet wszystkie szczury używając ich za pokarm, nie przepuściło nawet psom i wszystkiemu co tylko użyć było można dla zaspokojenia dokuczliwego głodu.

Król z politowaniem słuchał téj opowieści, wsparty na mieczu zadumał się głęboko, a Kulczycki rozerznąwszy kindżałem swą kurtkę, wydobył z niéj starannie ukryte pismo hrabiego Staremberga, skreślone w krótkości z błaganiem o przyśpieszenie oswobodzenia.

Jan trzeci odczytywał je, i w tę właśnie chwilę nadszedł wielki Hetman uprzedzony przez Matczyńskiego.

— No Panie Stanisławie (:wyrzekł Król do wchodzącego:) przybyliśmy w samą chwilę, bo już Wiedeń chciał kapitulować dzisiaj, tak bowiem dobrze Turcy dali się we znaki panom Niemcom, że z psów i szczurów pieczyste przyrządzają. I powtórzył wkrótkości to co Kulczycki oświadczył.

Hetman uśmiéchnął się podejrzliwie, gdy Sobieski powtarzał, jakie niosą dzięki dla Polaków, i jak wielki w Austryjakach obudził się

przeciw nim zapał, a pokręcając wąsa, odrzekł z dworskością.

— Zobaczemy to potém Miłościwy Królu.

— Mój hetmanie (:odparł Monarcha łagodnie:) od dziś Austrya inną życzliwością tchnąć dla nas będzie; my ich oswobodziciele, a oni teraz najwierniejszemi sprzymierzeńcami zostaną.

— Dałby to Bóg, aby naprawdę ziściły się te słowa, które pochodzą z szczerego Waszéj Królewskléj Mości serca. Ale ja wtenczas uwierzę temu, gdy osobiście przekonam się jak święty Tomasz, który za dotknięciem rany śmiertelnéj Jezusa Chrystusa naszego Zbawiciela, dopiéro uznał, że tylko już samo ciało ściska w swych objęciach.

Król nic na to nieodpowiedział, bo nieprzypadła mu do smaku ta mowa Hetmana, schmurzył nieco czoła, a Jabłonowski niechcąc go więcéj rozdrażniać, począł wypytywać Kulczy-

ckiego, jakim cudem umknął, że Turcy nie schwycili go w tak niebezpiecznem zleceniu.

— Mości Książę (:odpowiedział zapytany:) Polak wykonywa święcie rozkaz swojego Króla, tak i ja wezwawszy Boga na pomoc, śmiało poszedłem spełnić dane mi zaszczytne zlecenie i nietknięty stawiłem się z powrotem. Każdy inny na mojém miejscu, spełniłby to samo, gdyby Miłościwy Monarcha udarował go podobném zaufaniem.

Mowa ta spodobała się Królowi jak równie skromność z którą powiedzianą była a zwracając się do Księcia wyrzekł z powagą.

— Z takiemi ludźmi można całą Europę zawojować. Sprawiłeś się mój Kulczysiu tak, że i Rzymianie w epoce największéj świetności szczyciliby się takim człowiekiem. A wyjmując sakiewkę napełnioną złotem, rzekł daléj: Weź to odemnie jako tymczasowy dar, zaczém nie na-

darzy się sposobność chojniejszego wynagrodzenia twych usług.

Ale Kulczycki nieposunął ręki do odebrania podawanego mu daru i odrzekł nieco drżącym głosem:

— Miłościwy Królu, nie dla złota ażardowałem me życie, i mój czyn, wielki bohatér nie powinien opłacać złotem! Już dosyć dla mnie zaszczytu, że uzyskałem pochwałę, a jeśli kiedy Wasza Królewska Mość przypomni sobie o mojéj usłudze, będzie jeszcze czas do wynagrodzenia mnie innym sposobem, nieubliżającym memu szlecheckiemu klejnotowi.

Zarumienił się Król na tę mowę, schował napowrót kieskę do kieszeni, a podając rękę Kulczyckiemu, którą on z zapałem ucałował, wyrzekł łagodnie:

— Przepraszam Waszmość za moje uchybienie, bo takie usługi nie złotem płacić należy. Historya wspomni o nas obudwóch i każdy słu-

sznie wówczas powié: iż niepowinienem był w ten sposób doświadczać charakteru takiego człowieka. Nigdy ja nie zapomnę mój Kulczycki o tobie, i jeśli masz jakie żądanie, powiédz śmiało, a wszystkiego dopełnię.

— Oto Wasza Królewska Mość odda mi wszystką kawę jaką znajdziemy w tureckim obozie, który dziś zdobędziem, a ja osiędę sobie między temi Niemcami w Wiedniu i muszę ich nauczyć pić ten wschodni trunek tak, jak nauczyłem się robić go, będąc w tureckiéj niewoli.

— Dobrze Kulczysiu, masz moje słowo.

Skłonił się Kulczycki, podziękował Królowi za obietnicę i odszedł uszczęśliwiony łaskawém przyjęciem Monarchy, a Sobieski potém odezwał się do Hetmana.

— Trochę dziwak, ale całéj poczciwości czło-

wiek, zkąd jemu przyszło marzyć o kawiarni w Wiedniu, musieli mu tam głowę popsuć te Niemcy, a może też jaka gładyszka wkradła mu się do serca! i pokręcając wąsa chodził Król zadumany, nie mogąc sobie wytłomaczyć tego żądania.

To chwilowe zadumanie przerwał Królewicz Jakób, który wszedł ubrany w całym wojennym rynsztunku i salutując przed Królem, wyrzekł stojąc w wojennéj postawie.

— Przyszedłem po rozkazy do Waszéj Królewskiéj Mości!

Roztkliwiło się serce bohatéra na widok pierworodnego, czule przycisnął go do piersi, a zwracając się do Hetmana, przemówił:

— Panie Stanisławie, i on pójdzie za śladem ojca, bądź więc waszmosć takim samym przy-

jacielem jego, jakim zawsze byłeś i jesteś dla mnie. Wszak to moja krew, i spodziewam się, iż te same uczucia, które mnie ożywiają, płyną również i w jego żyłach, i że zawsze tak samo postępować będzie.

Hetman uścisnął podaną rękę Króla, ale nic na to nieodrzekł, bo nie lubił Królewicza równie z Maryą Kazimierą, której zdanie podzielał zawsze, a może też z tajemnych jakich pobudek czuł więcéj przychylności dla młodszego, bo nawet jak wielu utrzymywało, ma mieć nieco podobieństwa do Księcia.

Król nie otrzymawszy odpowiedzi zwrócił zaraz przedmiot rozmowy, a chcąc swemu pierworodnemu nagrodzić tę niechęć Hetmana widocznie mu okazaną, klepiąc go po twarzy, mówił z ironicznym uśmiechem.

— Dziś mój fanfaniku zostaniesz nieodstępnie

przy moim boku, będziesz brał ze mnie przykład, jak Królowie polscy idą śmiało do boju na czele nie ulękłych zwycięzkich szeregów, abyś i ty w czasie gdy ci Bóg dozwoli włożyć koronę, podobnież przywodził wojsku, które nigdy nie zapomni zasług twego ojca, aby je potém w całości przelać na syna, i w nim zapewnić sobie drogę do dalszéj sławy.

Nie chcąc zaś daléj prowadzić tak drażliwéj mowy, zapytał Król Matczyńskiego czekającego na rozkazy, czy już przygotowano wszystko do mszy świętéj, a kiedy ten dał potwierdzającą odpowiedź, Król zabierając się do wyjścia, wyrzekł:

— Pójdźmyż błagać Boga, aby nas natchnął zgodą, jednością i nieodwrócił swéj łaski w chwili gdy cała Europa i wszyscy nieprzyjaciele mają zwrócone oczy na nasze postępowanie, bo musiem im dowieść Hetmanie, że Polak nigdy nie pyta się o liczbę, lecz gdzie są nieprzyjaciele, a

po bitwie dosyć będzie miał czasu na ich policzenie.

Król wziął za rękę swego fanfanika, umyślnie, aby pokazać Hetmanowi, że jemu należy się przed nim pierwszeństwo, a Książę znając uniesienia Jana trzeciego, udał iż nie uważa, i umyślnie zatrzymał się w namiociku, jakby zapomniał tam czego. Ale Matczyński bystry na wszystko, poznał z twarzy Hetmana, iż to ubodło jego dumę, i od tego też dnia widocznie było, iż Książę coraz więcéj ostygał w przywiązaniu do Sobieskiego.

Niechęć ta jawniéj ukazała się późniéj, bo gdy po bitwie pod Parkanami dwaj Paszowie wzięci zostali do niewoli; Król żądał wydania ich sobie, a Hetman odmówił temu, dając za powód, że skoro jego chorągwie ich wzięły, przeto słusznie do niego należą.

Król nie chcąc narażać się na większe nieporozumienie, przestał nalegać, a potém owi dwaj

paszowie wschodu długi czas siedzieli w zamku lwowskim na koszcie Księcia, podejmowani z jego szkatuły i tam pomarli, a spodziewany wielki okup, zginął dla hetmana, czemu sam Król miał przeszkodzić i potem śmiał się serdecznie, dziękując niby Hetmanowi, że go od ponoszenia kosztów zasłonił. *

---

* Bliższe o tém szczegóły, w Pamiętnikach o Dawnéj Polsce, tom V, stron. 273.

XI.

Pierwszą mszę miał dominikan obserwant Skapowski, a po jéj ukończeniu, Król wrócił do namiociku dla napisania listu, do swojéj najukochańszéj Marysienki.

Jeszcze daleko było do dnia, a już działa tureckie poczęły odzywać się szturmując nocną porą do Wiednia. Gdy Król skończył pismo, dano mu znać, że kapucyn Włoch Marko Daviano od Ojca świętego z Rzymu przysłany, dowiaduje się o któréj godzinie ma odprawić mszę w starym kościele Leopoldsbergu.

Jan trzeci oświadczył, że stawi się punkt na godzinę ósmą i sam będzie służył do mszy świątobliwemu kapłanowi.

Już dnieć poczynało, Król zrobił krótką wojenną z wyższemi dowódzcami naradę, powydawał rozkazy w jakiém porządku pułki uszykować się mają do bitwy, jeśli ta rzeczywiście będzie mogła być stoczoną, bo ze wszystkiém nie był jeszcze zdecydowany, aby siłą uderzyć na tak przemagającego nieprzyjaciela.

Polacy pod dowództwem wielkiego Hetmana Jabłonowskiego zajmować mieli prawe skrzydło, lewe oparte o Dunaj, składało się z piechoty cesarskiéj i saskiej w trzech dywizyach. Hrabia Kaprara mając pod swemi rozkazami Ludwika Księcia badeńskiego i Księcia Salmo, dowodził piérwszą dywizją. Na czele drugiéj znajdował się Herman Książę badeński, ten, któremu przypisywano sławę wycelowania armaty na Turenniusza; pod jego rozkazami byli: Książę Croi i

Ludwik Neuburgski; Elektor saski dowodził trzecią dywizją złożoną z wojsk posiłkowych. Wszyscy ci wodzowie byli znakomici i oddawna wyćwiczeni w bojach. Groźne to lewe skrzydło, miało iść w kierunku na Wiedeń, a przy niém znajdowała się jazda walecznego Lubomirskiego. Ogolne dowództwo nad całém skrzydłem, otrzymał Książę lotaryngski, który w tym dniu w kirys od stóp do głowy był przybrany, a koń jego dzielny i rosły, w karacenę ustrojony.

Srodek składały dwie dywizje, to jest: cała jazda cesarska i bawarska, dowodzone przez uczonego Księcia sasko-lauenburgskiego, wraz z hrabią Karatfu, Baronem Bareith, Hrabią Gondola, Baronem Munster, Margrabią de Born i cała piechota bawarska z Frankonii i obwodów, którą dowodził książę Waldek. Elektor bawarski postanowił walczyć jako prosty ochotnik, a pośród szeregów znajdowali się także: trzech książąt Anchalt, trzech wirtembergskich, dwóch ha-

nowergskich, dwóch holsztyńskich, Książę Ejsenach, Książę Hohenzolern i Książę Hesen-kaselski. Do tych wojsk z całych Niemiec zgromadzonych, niedostawało tylko samego Cesarza Leopolda, ale w jego miejscu Król polski był Agamemnonem, a razem Achillesem całéj téj wyprawy.

Piechota polska składała się z dwunastu pułków i na ośm brygad podzieloną była, to jest: na prawe i na lewe skrzydło. Na prawém stały: Brygada I. Ernesta Denhoffa Kasztelana wileńskiego Generała-lejtnanta, składająca się z pułku tegoż Denhoffa pod dowództwem pułkownika Bernfejer, i z pułku Królewicza Jakóba, pod dowództwem pułkownika Seswegier. Brygadę tę nazywano królewską.

Brygada II. Stanisława Morsztyna Chorążego zatorskiego, składająca się z pułku tegoż Morsztyna, pod dowództwem Pułkownika Gerarda Tygenhoff i Majora Krystjan, i z pułku Wacława

Szczuki Stolnika wiskiego pod dowództwem pułkownika Weretycz.

Brygada III. Eljasza Łąckiego Chorążego ziem pruskich, składająca się z pułku tegoż Łąckiego pod dowództwem pułkownika Franciszka Lanckorońskiego Starosty stobnickiego, i z pułku Wacława Leczczyńskiego Wojewody podlaskiego, pod dowództwem Tobjasza Knobelsdorf.

Brygada IV. Fryderyka Grebena, składająca się z pułku tegoż Grebena, pod dowództwem podpułkownika Gutry; z pułku Jabłonowskiego Hetmana wielkiego koronnego, pod dowództwem pułkownika Berens, i z pułku Krasińskiego Referendarza koronnego, pod dowództwem pułkownika zorawskiego.

Lewe skrzydło zajmowały:

Brygada I. Pułkownika Butlera, Starosty bydgoskiego, składająca się z pułku tegoż Butlera, i z pułku Kątskiego Generała artylleryi.

Brygada II. Jana Denemarka pułkownika,

składająca się z pułku tegok Denemarka, podpułkownikiem był Saken, z pułku Potockiego Kasztelana krakowskiego; z pułku Lubomirskiego; z pułku Hrabiego de Meligny, pułkownikiem był Kożuchowski.

Brygada III. Tomasza Zamojskiego Kasztelana halickiego, składająca się z pułku tegoż Zamojskiego; pułkownikiem był Dobczyc, i z pułku Gnińskiego, Wojewody czernichowskiego, podpułkownikiem był Frank.

Brygada IV. Pułkownika Krejzera, składająca się z pułku Wielopolskiego Kanclerza wielkiego koronnego; z pułku Sieniawskiego Hetmana polnego koronnego, pułkownikiem był Asferus; i z pułku Denhoffa Wojewody pomorskiego. Całą artyleryą dowodził Kątski Kasztelan lwowski, pułkownikiem był Fink, a majorem Rudkowski. *

' Patrz dzieło Wespazyana Kochowskiego (Comentarius debello contra Turcas apud Viennam 1683).

Kiedy już dzień się zrobił, wszyscy wodzowie byli na wyznaczonych im miejscach, a Król przybrany w czarny grodetorowy kontusz wdziany na biały jedwabny żupan, dosiadł podanego mu dzielnego rumaka płowéj maści, nazywanego powszechnie pałaszem. Poprzedzał Króla Germek, puklerz w kształcie herbowéj tarczy (Janiny) niosący, i Horąży, który dla oznaki że przy Królu znajduje się, do proporca swego przypiął pióro sokole. Królewicz Jakób nie odstępując ojca, siedział na rączym koniu, miał szyszak na głowie, zbroję na piersiach, szpadę u boku, a pod udem według dawnego zwyczaju, szablę krótką i szeroką.

Król zmierzał prosto ku kościołowi Kamedułów, zkąd dawały się słyszéć ręczne strzały, gdy w tém galopem nadbiegł młody Eugenjusz Sabaudzki, donosząc Sobieskiemu o utarczce, którą rozpoczął się ów wielki dzień w historyi świata.

Hrabia Leśle z dywizyi Księcia Hermana Badeńskiego, miał jeszcze zwieczora wydany rozkaz, posunięcia się pod sam klasztor Kamedułów aż po krawędź lasu dla obwarowania się tam i urządzenia bateryi, aby przeciąć środek wojsk muzułmańskich i ze wszech stron gurować nad niemi.

O świcie Spachowie dostrzegli roboty żołniérzy cesarskich i Sasów, przeto z okrzykiem rzucili się iżby zniszczyć to przedsięwzięcie. Hrabia de Fonten a wkrótce Książę de Krua, z tejże dywizyi zaczęli potyczkę, w któréj sam Książę ciężko raniony został, a Książę Maksymiljan z tegoż domu poległ. Waldek pośpieszył im na pomoc, i wkrótce całe lewe skrzydło wciągniętém było do boju.

O godzinie ósméj zrana, bitwa coraz stawała się zwawszą i krwawą na przestrzeni Kloster-Neuburg i w niéj dragoni sabaudzcy Księcia de Krua, pułk saski, oraz oddział jazdy Lubomir-

skiego, okryły się sławą. Karol Książę Lotaryngski nadbiegł do Króla po ostatnie rozkazy. Było to blisko starego kościoła Leopoldsbergu; zsiadłszy z koni wzięli się obadwaj wodzowie pod ręce, śpiesząc do owéj świątyni błagać społem o błogosławieństwo władzcy wszech świata.

Słabe echo dzwonka wzywającego wiernych na modlitwę, rozlegało się ze szczytu stroméj góry, i każdy chrześcjanin spieszył, aby być przytomnym świętéj ofierze. Elektorowie, Książęta, wszyscy piérwsi wodzowie, którzy jeszcze nie należeli do bitwy, cisnęli się do téj świątyni.

Wysłany od Innocentego jedenastego z błogosławieństwem dla obrońców krzyża, ojciec Marco D'Aviano kapucyn, żarliwy, wymowny i szanowany od wszystkich, począł odprawiać mszę świętą, a sam Król służył mu do niéj. *

* Wielu bliżéj ołtarza stojących, słyszeli, że ów kapucyn przy dokończeniu mszy, zamiast *ite missa est* wymówił:

Sobieski klęcząc u stóp ołtarza, z założonemi rękami modlił się gorąco, przyjął komunią świętą, a potém wstał, aby dać oręż synowi swemu Jakubowi. Wtedy Marko Daviano stanął w progu kościoła z krucyfiksem w ręku, a błogosławiąc wojsko, mówił:

Zwiastuję wam przez stolicę apostolską, że jeżeli macie ufność w Bogu zwyciężycie. A gdy wszyscy odpowiedzieli mamy, kazał kilka razy powtórzyć za sobą Jezus Marya!

Po skończonym obrzędzie religijnym, Król dosiadł konia a zostawując kapucyna modlącego się na stroméj górze, powiódł wojsko wśród przepaściste wąwozy ku równinie przeciw tureckiemu obozowi, mówiąc:

Idźmy teraz śmiało, Bóg nas wspomoże!

Wojsko chrześcjańskie zstępowało pięciu ko-

Vinces Joannes. A gdy potém zapytywany, usilnie zaprzeczał temu, twierdząc, że niepopełnił takiéj omyłki.

łumnami z owych gór w największym porządku; piérwsze oddziały co sto kroków zatrzymywały się, oczekując na tych co opóźniali się, już to wskutku trudnéj przeprawy, już znów dla tego, iż musieli wznosić bateryę mające gromić nieprzyjaciół.

Piérwszy wał na prędce przez Turków usypany dla zamknięcia sześciu dróg wiodących z gór na równinę zdobyty został po krótkiéj zwawéj utarczce. Przy każdym zakręcie toczono bój zawzięty. Spachowie pozsiadali z koni do walki, to znów dosiadłszy ich szukali nieco daléj dogodniejszego miejsca do potyczki. Nieobwarowawszy się tam kędy sama natura najlepsze do tego przygotowania uczyniła, wikłali się w ciasnych wąwozach śród lasów i winnic, a nie mając pieszego żołniérza, którzyby stawić mógł opór nastawającéj piechocie, cofali się z wszech stron w nieładzie.

O godzinie dziesiątéj zrana pułki cesarskie

wyszły już były z wąwozów, w miarę jak pozwalała przestrzeń miejsca, kolumny stawały w szyku bojowym i wojsko posuwało się trzema linjami. Lesle najprzód, potém Książę de Krua, będący w szeregach bez względu na odniesioną ranę; Kaprara, Książę Sasko-Lauenburgski, zatknęli swe chorągwie na równinie. Lewe ich skrzydło przypierało do Dunaju, prawe zaś łączyło się z Księciem Waldek, który wkrótce spuścił się także z gór na równiny.

Jan trzeci rozkazał księciu Lotaryngskiemu zatrzymać się i czekać na Polaków, którzy już przez wąwozy Wenesbergu mieli znacznie dłuższą drogę do przebycia. O godzinie jedenastéj ukazały się hufce polskie, powitały je orły cesarskie, a okrzyki niech żyje Król Jan Sobieski przebiegały wszystkie szeregi chrześcjańskiego wojska.

Król i przedniejsi wodzowie około niego zgromadzeni, zsiedli z koni, aby posilić się pod

drzewem; upał nieznośny dokuczał, a żołniérze nie spuszczając z ręku muszkietu lub proporca pożywali co który miał z sobą.

W samo południe wszystko już stało gotowe pod bronią i mimo ogromnego gorąca wojsko postępowało naprzód, tworząc półkole na tym ogromnym amfiteatrze, który odkrywał ich teraz w wybornym porządku, i w całym blasku przed oczami zdumionych Turków ukazał. Sprzymierzeńcy postępowali przodem, a Jan trzeci przebiegał od jednéj kolumny do drugiéj zachęcając żołniérzy. Mówił do każdego rodowitym językiem, po niemiecku do Niemców, po włosku do Włochów, po francuzku do Francuzów, którzy w znacznej liczbie zapełniali szeregi.

W chwili gdy zatrzymały się chrześcjańskie wojska dla krótkiego wytchnienia, Turcy korzystając z tego pozajmowali obronne stanowiska, wzmacniając je wszędzie posiłkami. Wypadło więc nową i żywszą toczyć walkę. Wio-

ska Neudorf położona pod osłoną rowów i kamienistego gruntu winnic, a daléj i druga pozycya, bronione były z zaciętością; ale krzyż odniósł zwycięztwo. Helgstadt następnie stawił silny opór, lecz ussarze polscy z proporcami w ręku rzucili się na hufce tureckie, i rozproszyli je. Uniesieni zapałem zwycięztwa posunęli się aż pod główną armię muzułmańską i w tym niepohamowanym zapędzie, młody Potocki Kasztelanic krakowski, Modrzejowski Podskarbi nadworny i Pułkownik Asferus polegli.

Król widząc niebezpieczeństwo, wysłał tym pułkom na pomoc Księcia Waldek i Bawarczyków, a sam zaraz wystąpił na czele drugiéj linii, i dragonów cesarskich. Starcie się było okropne, przełamani wszędzie muzułmanie na nowo stawali do walki, ale wojsko chrześcjańskie wszędzie ich przemogło i zbliżyło się pod same okopy obozu. Tu rozstrzygnąć się miał los bitwy.

Przystępu do tego obozu, na którego przepych pożądliwém okiem poglądali żołnierze, broniła głęboka fossa z szańcem usypana. Samym środkiem armii dowodził osobiście Kara Mustafa wielki Wezyr. Skrzydło będące naprzeciw cesarskich pułków i przytykające do Dunaju miało na swém czele walecznego i biegłego Kara Mechmet Paszę, który odznaczył się wiele podczas wojen ukraińskich i drugiém zasłaniającém armią od strony gór styryjskich, dowodził stary Ibrahim. Siedmiogrodzanie, Wołosi, Arabowie, Tatarzy i część Janczarów, zajmowali pagórki, które usypaniem wałów wzmocniono, rozstawiwszy na nich silną artylleryą.

Gdy tak w szyku bojowym stały naprzeciw siebie dwie potężne armie wojska, Król znajdując się na czele w samym środku, wziąwszy perspektywę przezierał tureckie szyki, a zdala dostrzegłszy samego Kara Mustafę, który w téj chwili z dwoma synami pod karmazyno-

wym namiotem popijał kawę, kazał przywołać do siebie rezydenta od chorągwi Królewicza Aleksandra. Skoro ten przybiegł, wielki wódz wyrzekł:

— Biegaj waszeć do chorągwi swojéj, aby tu pan Porucznik natychmiast z nią przychodził.

A kiedy za chwilę spełniony został ten rozkaz, i Porucznik Zwierzchowski Podkomorzy łomżyński stanął przed Królem mówiąc: przyszedłem po ordynans Waszéj Królewskiéj Mości: Król dając mu w rękę perspektywę i wskazując mu miejsce przed chwilą rekognoskowane, odezwał się.

— Widzisz waszmość ten karmazynowy namiot, panie Poruczniku?

— Widzę Miłościwy Królu.

— Otóż to tam stoi sam Wezyr; a przyłożywszy znów perspektywę dodał: dopiéro rozciągają sznury sejmanowie, rozkazuję więc wasz-

mość panie Poruczniku, abyś tam z swoją chorągwią skruszył kopije.

Porucznik odebrawszy ten rozkaz, uszykował swoją ussarską chorągiew z dwustu ludzi złożoną i złożywszy kopiją wpół ucha końskiego, czekał ostatecznego znaku, mającego się dać przez Króla. Sobieski rekognoskując ciągle nieprzyjacielski obóz, stanąwszy przed frontem uszykowanéj chorągwi, mówił daléj do porucznika.

— Jeśli waści naprze nieprzyjaciel, nie nawódź go tu na mnie, ale salwuj się tą oto przerwą, idąca po prawéj ręce do namiotu Wezyra, a ja zobaczę co daléj czynić wypadnie. Teraz zaś w imię Boże ruszaj waść naprzód!

Zakomenderował Porucznik a jego dzielni ussarze spięli niecierpliwe rumaki; ziemia zadrżała pod tententem kopyt, a wzniesiony tuman kurzu ukrył ich na chwilę przed wzrokiem w milczeniu patrzącego wojska, a razem zdumione-

go, w jakim zamiarze Król poświęcił na oczywistą zgubę tych walecznych żołnierzy. Z pośrodka nich niekiedy tylko błysnęła rozpuszczona wpół czarna a w połowie żółta chorągiew, na któréj biały orzeł srebrem był naszywany.

Kiedy wśród tumanu kurzu nie można było nic więcéj rozeznać, Król odjąwszy perspektywę, dobył z zanadrza mały z relikwijami krzyżyk, zrobiony misternie z drzewa, na którym umęczono Chrystusa, i żegnał nim mówiąc: Boże Abraamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów zlituj się nad ludem twoim.

Turcy zdumieni tak szczególną garstki walecznych odwagą, widząc iż prosto pędzą do namiotu wielkiego Wezyra, ustępowali się im z drogi, w tym rozumieniu: iż oni przeszli na ich stronę, ale gdy dotarli pod sam namiot i z okrzykiem zwycięzców, rzucili się z kopijami w tłum otaczający Wezyra, natenczas z dobytemi szablami porwano się na ową garstkę,

która spełniwszy rozkaz Króla, teraz jedynie w szybkim odwrocie szukać musiała ocalenia.

Król i wszyscy stojący obok niego wodzowie, tudzież całe czoło armii śledzili okiem za tą garstką walecznych, która według ich mniemania nie miała powrócić już do nich, ale gdy za chwilę opadł tuman kurzu, ukazała się znów ta sama chorągiew, a za nią tłumy tureckich jezdzców, usiłujące zgnieść owych walecznych.

Kiedy już zbliżali się ku armii, zadziwionéj tém cudowném ocaleniem rycerzy, za straconych na zawsze poczytanych, Turcy zaprzestali dalszéj pogoni, a Sobieski dumny tak wielkiém odznaczeniem się swoich żołniérzy, z zadowoleniem poglądał na zgromadzonych obok siebie wodzów cesarskiego wojska, a kiedy nieustraszony Zwierzchowski stanął przed nim okryty kurzawą na śpienionym rumaku, i salutując wyrzekł: Sprawiłem się według rozkazu Waszéj Królew-

skiéj Mości, na to odrzekł z radością wielki bohater.

Chwała niech będzie Panu Bogu, że waści żywo i zdrowo pozwolił powrócić: a co za szkodę waść masz między ludźmi?

— Jeszcze nie mogłem pomiarkować się (:odrzekł waleczny rycerz:) ale zdaje się, że tylko pięćdziesięciu niedostaje.

— Żebyś mi waść po haśle raport uczynił regestrem, z imienia i przezwiska kto zginął. *

---

* Kiedy póżniéj tenże porucznik po szczególe czytał Królowi regestr a między innemi wymienił towarzysza Wojnę, Król miał wyrzec: to i pan Wojna zginął? Zginął, odrzekł Porucznik, a Król na to: Wojna nie rodzi ludzi tylko pani Wojnina. Tenże Wojna gdy był poprzednio posłem na sejmie, chciał zerwać takowy, z przyczyny: że Król pragnął wnieść, aby rzeczpospolita przyznała Królowéj reformacyą. A ztąd niektórzy złośliwi wnosili po tém, iż Król pamiętając tę obrazę umyślnie na stracenie oddał tę chorągiew. (:Dyaryusz wiedeńskiéj wyprawy, patrz pamiętniki o dawnéj Polsce, tom V. stron. 253:).

A potém zwracając się do wodzów czekających na ostatnie rozkazy, wyrzekł Sobieski.

— Ha, teraz możemy śmiało wziąść się do dzieła, niepotrzebujemy odkładać do jutra tego, co dziś możemy jeszcze dokonać.

I wydawszy w krótkości potrzebne rozporządzenia, kazał piechocie zdobyć wzgórze, panujące nad stanowiskiem środka armii muzułmańskiéj.

Hrabia de Maligny na czele nieulękłéj piechoty śmiało wykonał rozkaz i piérwszy wdarł się na redutę. Na ten niespodziewany atak Kara Mustafa skupił obok siebie całą piechotę stojącą na lewém skrzydle, tym sposobem odsłonił swoje boki, a obrot ten zmięszał całą liniją.

Spostrzegłszy to Król, zawołał, teraz zginęli! a posełając rozkaz księciu Lotaryngskiemu aby

nagle uderzył na środek, gdy on sam uderzy na całą massę niesprawioną jeszcze do szyku. Jan trzeci na czele walecznych hufców rzucił się naprzód, wprost ku obozowi wielkiego Wezyra.

Ussarze królewicza Aleksandra trzymający czoło kolumn, z okrzykiem biegli wślad za swoim Królem, a za niemi pędziły hufce pod dowództwem wojewodów i najznakomitszéj szlachty polskiéj. Przebyli fossy i rowy, z impetem uderzyli na muzułmanów, rozłączając na dwie części zmięszane ich szyki. Starcie to tak gwałtowne było, że prawie wszystkie proporce z druzgotały się, a w tém piérwszem spotkaniu paszowie Alepu i Sylistryi zginęli.

Wielki hetman Jabłonowski aż pod góry Styryjskie zapędziwszy Tatarów, uderzył na czele prawego skrzydła, i z jego ręki czterech paszów śmierć znalazło.

Książęta zaś Lotaryngski i Waldek, obserwując chrześcjańskie posiłki ottomanów, wachające się pod dowodzącemi hospodarami, okrążyli ich obóz, tak, że Maurokardato naczelny tłomacz uciekł aż do namiotu Kara Mustafy.

XII.

KIEDY wrzała najzaciętsza walka, i wojsko chrześcjańskie zewsząd otaczało turecki obóz, wielki Wezyr nietracąc jeszcze nadziei, całą massą swoich zastępów postanowił zgnieść jak mówił garstkę, oślep na swą zgubę idącą. Przyłożywszy lunetę do oka długo patrzył w stronę gdzie han tatarski stojący dotąd bezczynnie, miał oskrzydlać nie liczne zastępy bohaterów a następnie Ibrahim pasza Beglerbej Budy z całą jazdą Spahów i Wołochów tudzież

Kihaj * na czele janczarów mieli dokonać zupełne zwycięztwo.

Ha, dziki psie tatarski, głową swoją przypłacisz nieposłuszeństwo; wyrzekł wielki Wezyr do otaczających go kilku paszów, a zgrzytając zębami, rzucał piorunującym wzrokiem wokoło i w uniesieniu gniewu, szarpał swoją siwą brodę.

Zaklinam się na proroka (:mówił daléj:) że temu psu tatarskiemu sam utnę głowę mym jataganem, i dam z niego przykład, jak karzę tych, co nie szanują moich rozkazów!

Kazał podać konia uginającego się pod bogatym rzędem złotem i kamieniami obciążonym a dosiadłszy go, biegł w szeregi janczarów, by na ich czele stawić jeszcze śmiałe czoło rozpacznéj odwadze przeciwników; lotem błyskawicy mijał strwożone szeregi wojska, stojącego

* Piérwszy w dostojeństwie po wielkim Wezyrze.

w nieładzie. Na ich twarzach malowała się rozpacz i bojaźń, albowiem wszyscy upatrywali zesłaną karę nieba na wielkiego wezyra, które to echo jak iskra galwaniczna w jednéj chwili przebiegła całe wojsko.

Kara Mustafa bystrym i razem przenikliwym wzrokiem dostrzegłszy tę niechęć i zupełne zwątpienie, ujął chorągiew proroka w jedną rękę a w drugiéj z dobytym błyszczącym jataganem, jak lew rozjuszony pędził na arabskim biegunie pośród strwożone szeregi, by w nich ducha odwagi ożywić. Ale usta jego żołniérzy zaniemiały teraz, nawet cudownéj chorągwi widok nie robił na nich wrażenia, i stojąc pogrążeni w grobowém milczeniu, zdaje się że czekali tylko sposobnéj chwili, aby pójść w rozsypkę, ratując się spieszną ucieczką.

Huk dział zewsząd rozlegający się pomnażał jeszcze więcéj tę bojaźń, którą szeregi ottomańskie przejęte były, a wielu dowódzców We-

zyrowi nie chętnych, upatrywali teraz jedynie sposobność, aby dać pochop do ogólnéj ucieczki. Ale jeszcze większa część wojska była poświęconą dla Kara Mustafy, ta mianowicie, którą przywodziło kilku paszów z duszą i ciałem mu oddanych. W nich téż wielki Wezyr pokładał całą nadzieję, i oni z swém wojskiem wstrzymywali cały zapęd toczącéj się bitwy. Oczekując co chwila na mające nastąpić oskrzydlenie nieprzyjaciela, by tym sposobem zabrać mu tył i sprawić ogólne zamięszanie, napróżno wytężali wszystkie swe siły, aby oprzéć się coraz mocniejszym attakom. Ale spodziéwana dywersya nie nastąpiła, bo większa massa wojska stała w bezczynnym nieładzie, a rozkazy Wezyra wydawane ich dowódzcom, żadnego skutku nie odnosiły i tylko sami Janczarowie z pomocą kilku paszów wstrzymywali całą potęgę Jana trzeciego.

W takiém rozpaczliwém położeniu, Kara Mu-

stafa pokładając swe nadzieje w janczarach, w owéj jeździe, wyborem całego wojska będącéj, pobiegł ku nim, a zachęciwszy ich do wytrwałości i odwagi, rozkazał uderzać im na wszystkie strony by odeprzéć zewsząd nacierającą jazdę polską. Potém zawrócił do Ibrahima paszy stojącego bezczynnie na czele Spachów i Wołochów. Koń jego żując złote wędzidła parskał białą pianą i z nozdrzy zdawało się że ogień bucha, bo takie kłęby gorącéj pary wyrzucał z siebie znurzony arabczyk.

— Żołnierze! patrzcie na ten znak wielkiego proroka, powierzony mi przez Sułtana (:wołał ochrzypłym głosem Kara Mustafa:) w jego imieniu zaklinam was abyście się pomścili, zgnietli garstkę zuchwałych chrześcjan, a za każdą przyniesioną mi głowę dam dziesięć piastrów nagrody. Idźcie więc naprzód, ja pójdę z wami na waszém czele!

I wspiął rumaka złotemi ostrogami, koń rzu-

cił się naprzód jak szalony, ale jazda stała nie wzruszenie w ściśniętych szeregach.

Twarz wielkiego Wezyra okryła śmiertelna bladość, zgrzytał zębami ze złości i odwróciwszy się napowrót przybiegł do Ibrahima paszy i mignąwszy mu przed oczy błyszczącym jataganem, wyrzekł w największém uniesieniu.

— Także to słuchasz moich rozkazów i całe twe wojsko? W téj chwili twoja głowa spadnie na ziemię, a w krwi którą wytoczę, nasycę mą zemstę dla ciebie.

Ale owe pogróżki nie zastraszyły Ibrahima, najrzód roześmiał się szyderczo, a potém podniosłszy swój hartowny jatagan dla odcięcia ciosu, gdyby go nań Wezyr miał wymierzyć, wyrzekł z całą pogardą.

— Niesłucham dziś twych rozkazów, bo chcesz zgubić całe wojsko, i pomnij czém przypłacisz swą zarozumiałość. Na jedno moje skinienie wszyscy pójdą w rozsypkę, bo dla twojéj nieo-

graniczonéj dumy ja nie poświęcę wyboru wojska, aby tu śmierć znalazło.

Na tak śmiałą z granic posłuszeństwa wychodzącą odpowiedź, śmiertelny dreszcz przejął Wezyra, owego wielowładnego pana, na którego jedno skinienie, postrach śmierci szerzył się dokoła. Poznał w téj chwili, że jego władza jest jak owo bezużyteczne narzędzie w ręku, nie dające się już użyć w żadnéj potrzebie. Jednakże Kara Mustafa, nie chciał okazać w obliczu wojska, że jego znaczenie jako piérwszego po Sułtanie przestało być juz wszechmocném, a z drugiéj strony wiedząc jaką Ibrahim czuł ku niemu nienawiść, i znając nadto nieograniczony jego wpływ w wojsku, powściągnął nieco swéj dumy, lecz odrzekł z całą pogardą obrażonego pana.

— I tyż to śmiesz do mnie namiestnika Sułtana tak zuchwale przemawiać? Ażaliż nie boisz się, iżby wielki prorok w téj chwili język

twój na zawsze oniemiał? Czy myślisz, iż brakuje mi wiernych, którzy wykonają me rozkazy, by twa głowa tarzała się u stóp moich? Za chwilę ukarzę cię i dam surowy przykład innym jak rozkazy moje ślepo wykonywać należy. *

A nie czekając odpowiedzi wspiął konia i jak strzała pobiegł ku swoim namiotom.

Teraz dopiéro poznał wielki Wezyr całą okropność położenia swego; widział że wojsko wypowiedziało mu posłuszeństwo, że nic już liczyć nie może na Ibrahima paszę. Ale Kara Mustafa pomimo iż widział wszystkie następstwa swojego położenia, jednym śmiałym zwrotem chciał uchronić całą swą armję od widocznéj zguby, a ukarawszy okazaną mu dla jego rozkazów nieuległość, potém na inném miejscu postanowił stoczyć korzystniejszą walkę, skoro rozsprzęże-

* Tenże sam Ibrahim późniéj po bitwie pod Parkanami z rozkazu wielkiego Wezyra uduszony został.

nie w zwykłe karby wojennéj karności przywróci. Taki w téj chwili ułożył sobie plan Kara Mustafa, i śpieszył go wykonać natychmiast.

Dumny ten człowiek, pragnący aby każdy drżał na jego skinienie, postanowił nieodwołalną zgubę Ibrahima paszy, Selim Gireja hana tatarskiego i wszystkich innych o których wierności miał jakiekolwiek podejrzenie. W uniesieniu swojém już zdawało się, że patrzał, jak dla nasycenia jego zemsty, rzucono mu pod nogi ich głowy Ale obok tego przewidywał Kara Mustafa że i jego głowa w równem może być niebezpieczeństwie, i że jedynie niezachwiana przytomność i całe energiczne postąpienie będzie go mogło ocalić.

Choć pochylony wiekiem i zbytkiem uciech przesycony, jednakże wielki Wezyr zachował jeszcze całą przytomność umysłu, jaką w tak stanowczéj dla niego chwili mieć należało. Cały swój zamysł ukrył na dnie duszy, odkładając zemstę do innéj sposobniejszéj chwili, i po-

stanowił sobie utrzymać się tylko w stanowisku wodza, mogącego jeszcze stawić groźny nieprzyjacielowi opór.

Z takiém postanowieniem stanął przed swym namiotem, w chwili kiedy już wojska nieprzyjacielskie wdarły się do okopów tureckiego obozu.

Ponowiwszy rozkaz janczarom, aby o ile można wstrzymywali zapęd całą massą zewsząd nacierającego Króla polskiego, pragnął teraz ocalić przynajmniéj swe kosztowności i harem. Jednakże to wszystko już było zapóźno, janczary dłużéj nie mogli wstrzymać powszechnego attaku; a wielki Wezyr poznał, że ostatnia godzina zguby wybiła.

Huk dział i ręcznéj broni, trząsł niemal całą ziemią, a zaciemnione niebo od kłębów prochowego dymu zarumieniło krwawą łuną cały horyzont nieba. Śmierć, zniszczenie, zionęły dokoła: okrzyk zwycięztwa polskich hufców brzmiał

jak grobowa pieśń nad umarłemi, i w téj chwili wojska ottomańskie zaczęły pierzchać w rozsypkę.

Niesłuchano rozkazów, każdy uciekał unosząc to wszystko co mógł zabrać z sobą, zostawując resztę na pastwę nieprzyjaciela. Ani zatknięta przed namiotem Wezyra chorągiew proroka, ani groźby i obietnice nie mogły zatrzymać postrachem zdjętych hufców, każdy zajęty był sobą, myśląc jedynie o swém ocaleniu.

Gorzkie łzy wycisnęły się z oczu Kara Mustafy i choć widział, że już wszystko stracone na zawsze, jednak postanowił nie ustąpić jeszcze, dopóki nie zabezpieczy najdroższéj mu odaliski Zelimy.

Zapomniał już o skarbach, rozkazał brać co wola każdemu, aby tylko bronili jego osoby, i nieodstąpili go w tak stanowczéj chwili. Przyrzekał wszystko co tylko człowiek w stanowczéj godzinie swego upadku przyrzekać może, rozpacz jego doszła już granic ostatniego kresu; a

w miejsce odwagi, ogarnęła trwoga i bojaźń. A gdy nadbiegł han tatarski naciskany przez uciekających, zawołał do niego Kara Mustafa.

— I ty mnie już odbiegasz jako zdrajca?

Na to odrzekł Selim Girej.

— Król jest z niemi, mówiłem że przeciw niemu nie można działać. Spojrz Wezyrze na niebo, a ujrzysz ażali Bóg nie jest przeciw nam!

Chwile były policzone, bo tuż polscy ussarze na czele bohatérskiego Króla słali w około siebie trupem resztki odważnych muzułmanów jeszcze poświęcających się zgubionéj swego władzcy sprawie.

Pieśń Boga Rodzicy, jak potok rozpalonéj lawy przenikała słuch ottomanów, a gdy majestatyszną postać Króla ujrzał zdaleka wielki Wezyr, razem z tém odbiegła go teraz cała odwaga.

Widząc swą zgubę, z zimną krwią patrzył jak na jego rozkaz mordowano bezbronne dzieci *

* Książę Kantymir w swéj historyi, liczy samych dzieci zamordowanych trzydzieści tysięcy.

jeńców i cudnéj piękności odaliski, z obawy aby nie dostały się w ręce zwycięzców. Ale sam zabezpieczył już przy swym boku Zelimę, która siedziała na dzielnym arabskim koniu, a jego cugle Wezyr trzymał w swém ręku. Tuż przy niéj na drugim koniu czekała rozkazu wierna murzynka niewolnica, nieodstępna powiernica Zelimy.

Już mignęły polskie proporce, okrzyk wojenny: górą nasi, śmierć wam muzułmanie... z pomięszanym echem huku dział, szczękiem szabli, i świstem kul, przelatywał jak okropny uragan po piaszczystych Arabii stepach. Wysadzone w powietrze ukryte miny prochu, wulkanicznym swym wybuchem, pomnażały większą okropnością tę nadzwyczajną walkę, zagrażając obudwu stronom okropną śmiercią.

Ale słowa nieustraszonego Jana trzeciego, za mną bracia, naprzód w imię Boga, nasza wygrana!... dodawały odwagi każdemu i na oślep

z rozpaczną odwagą szło wojsko nie pomnąc na ukryte przez nieprzyjaciół zasadzki.

Te wszystkie słowa niezrozumiane od wielkiego Wezyra, ani od innych przy nim znajdujących się, przenikały duszę Zelimy, a jéj myśl w téj chwili wzniesiona do Boga słała korne modły za zwycięztwo chrześcjan.

Kara Mustafa widząc coraz większe niebezpieczeństwo, wydał kilku wiernym mu paszom rozkaz, aby z garstką pozostałych żołniérzy zasłaniali jego odwrot, a sam ruszył za uciekającém w nieładzie swojém wojskiem.

Jeszcze nie przebył rozrzuconych namiotów; przeszkadzających mu ucieczkę, a już wojsko polskie było w środku obozu, i kiedy jedni byli zajęci zdobyczą, inni śmiało gonili za uciekającym nieprzyjacielem.

Hufieç ussarzy królewicza Aleksandra pędził w galopie przez połamane namioty, a kiedy już

wydostał się na gładką równinę, biegł w pogoń za uciekającym z nieliczną garstką Wezyrem.

Dym zalegający w około, zaledwo zbliska dozwalał rozpoznać przedmioty, i każdy na oślep pędził w stronę gdzie tentent końskich kopyt rozlegał się smętném echem po równinie. Śród tego dymu i kurzu, coraz wyraźniejszy rozgłos dochodził ich uszu, a z własném wycieńczeniem, podwajali biegu znurzonych rumaków, aby doścignąć ratującego się szybką ucieczką Wezyra.

Niezadługo zdala mignęły turbany, a w piersiach ussarzy żywiéj zakołatały serca, bo w tym uciekającym nielicznym hufcu była cała świta obok Kara Mustafy.

Już na strzał dobiegli ich, gradem kul zmięszali spłoszoną garstkę, i kiedy Turcy swym zwyczajem w nieładzie zaczęli się rozpierzchać pojedynczo, jeden z pośród goniących zwycięzców

usłyszał krzyk: ratujcie mnie bracia!.. i na oślep pędził w to miejsce bez stracenia chwili czasu.

Z odwiedzionym pistoletem w jednéj i z dobytą szablą w drugiéj ręce, puścił wodze swojemu koniowi, który jakby zgadywał myśl pana, chyżéj i coraz chyżéj sadził szczupaki.

Ale w miejscu zkąd tak przenikliwy krzyk obił się o jego uszy, leżał tylko rozciągnięty na równinie piękny arabski wierzchowiec, z damskiem siodłem na grzbiecie, a rycerz gdy to spostrzegł, tém szybciéj pędził w stronę zkąd dolatywał go tentent galopem pędzących jezdzców. Tchu omal nie stawało mu w piersiach, a jeszcze bodł ostrogami konia, zmuszając go do prędszego biegu. I dognał zdobyczy bo już rozeznał kilkunastu jezdzców tureckich pomiędzy któremi jeden trzymał na swojém ręku omdlałego, lub téż śmiertelnie ranionego towarzysza. Ale gdy zbliżył się daléj i swój wzrok natężył w tę stronę, poznał że tym unoszonym

jezdzcem była kobiéta, któréj głos obudził w nim taki zapał, w celu uwolnienia jéj z ręki barbarzyńców.

Była to Zelima unoszona przez samego Wezyra, pod którą gdy padł koń smiertelnym ciosem ugodzony on sam objąwszy wpół jéj kibić, unosił skarb swego serca, aby taka zdobycz nie dostała się w ręce zwycięzców.

W pośpiechu jazdy tarban spadł z jéj głowy, a pierścienie kruczych włosów, igrały z wiatrem w zawody. Zemdlona dziewica, już przez samo nagłe spadnięcie z konia pozbawiona czucia spoczywała bezwładnie na rękach swojego pana i władzcy, a zaledwo słaby oddech i lekkie bicie zbolałego serca, dawało poznać, że jeszcze przy życiu zostaje.

W takiém położeniu Wezyr postanowił na chwilę zatrzymać się, przywrócić przytomność omdlałéj; i dopiéro daléj chciał dążyć za uciekającém wojskiem.

Zachamował rozpędzonego w biegu rumaka, a kiedy był zajęty czuceniem omdlałéj i wydawał rozkazy otaczającym go, aby zachowali potrzebną baczność przed pogonią. W tej chwili dobiegł jeździec polski.

Księżyc po chwilowém poprzedniem zaćmieniu oświecał w pełnym blasku całą równinę i tylko jak daleki grzmot podziemny dochodził uszu głuchy tentent uciekającéj jazdy tureckiéj.

Rycerz polski nagłym napadem postanowił odbić unoszoną zdobycz i śmiałym natarciem przestraszyć małą garstkę około wielkiego Wezyra zebraną. Ale on niewiedział o tém, iż pomiędzy niemi znajduje się sam dowódzca całéj ottomańskiéj potęgi i że otaczający go, gotowi byli życie swe poświęcić w jego obronie.

Młodość, zapał jakiém był przejęty w niesieniu obrony na wezwanie ratunku, wreszcie powzięte przekonanie, że tą osobą jest kobiéta uwożona przemocą, nie dozwoliły mu zimną

krwią zastanowić się bliżéj nad następstwami wyniknąć ztąd mogącemi. Wreszcie będąc śmiały i odważny, liczył także i na przerażenie jakie nagłym napadem sprawi na uciekających w popłochu, i dla tego postanowił natychmiast uderzyć, a odebrawszy uwożoną brankę, dopiéro z tą zdobyczą powrócić do swoich. Miał przytém i to na uwadze, iż towarzysze jego również nieopodal być muszą i że za danym wystrzałem nieomieszkają pośpieszyć w miejsce potyczki.

Te wszystkie uwagi zrodziły się lotem błyskawicy w umyśle młodzieńca, a pokładając ufność w Bogu, i w sprawie za jaką poświęcał się, pewnym był niemylnego zwycięztwa.

Usta jego szeptały cichą modlitwę do Rodzicy Boga, a na piersiach spoczywające relikwie miały go bronić w każdém zdarzeniu. Wiara ta była w nim tak wielką, że w téj chwili go-

tów był uderzyć na liczniejszą jeszcze siłę, z pewnem zaufaniem w zwycięztwo.

Bo też wielka była zarozumiałość każdego polskiego rycerza, a gdy dostrzegli z takim popłochem w nieładzie uciekających Turków, nie uważali na liczbę, mniemając, że przytomność umysłu i przekonanie o pewnem zwycięztwie, poda im w ręce wszystkich Ottomanów zwłaszcza iż wielu z nich na sam widok polskiego rycerza, rzucali broń, oddając się dobrowolnie w niewolę.

Rycerz o którym tu mowa, piérwszy raz w życiu swojém był w boju z Turkami, a widząc zewsząd ich przerażenie i haniebną z placu boju ucieczkę, śmiało liczył na swą zręczność w robieniu bronią, bynajmniéj nie zważając na liczbę zdjętych postrachem.

W takiém to usposobieniu, młody wojownik dobiegł wielkiego Wezyra, tem więcéj straszniejszego teráz, że ofiarą własnego życia gotów był bronić unoszonego skarbu, aby nie oddać go

w ręce zwycięzcy. Tentent w najchyższym biegu galopującego konia nie zwrócił uwagi garstki zebranych wokoło Kara Mustafy towarzyszy, bo sądzili, że należy do ich szczupłego orszaku; ale nagły wystrzał z pistoletu i okrzyk za mną bracia!... zwrócił ich uwagę, a obok przerażenia jakie ztąd nastąpiło, każdy błysnął gołym jataganem, postanowiwszy drogo sprzedać swe życie.

Rycerz zdobytym orężem rzucił się w przemagającą liczbę i rozpoczął nierówną walkę w nadziei, że Turcy mniemając iż nadbiega za nim pomoc, przestraszeni porzucą swą ofiarę a sami śpieszną ucieczką ratować się będą. Jednak gdy ujrzał zwrócone ku sobie jatagany, i tak śmiało stawiony opór, postanowił zwyciężyć lub zginąć. Już zadał kilka ciosów nacierającym bliżéj niego, już zmierzył okiem samego Wezyra, przy którym na murawie bezwładnie złożoną białą Zelima, i teraz tém więcéj

natężył siły, a zadając ciosy prawdziwą damascenką, ciągle wydawał okrzyk: za mną bracia!

W chwili téj nierównéj walki i starcia się na gołe miecze, rumak stanął jak wryty a bystry słuch doświadczonych Turków, zapewnił ich, że tylko z jednym rycerzem mają rozprawę, bo zamiast tententu koni, tylko szczęk krzyżujących się szabel roznosiło echo po równinie. Takie przekonanie obudziło w nich tém większą odwagę, a skupiwszy się wszyscy zamierzyli wspólną siłą pokonać tak śmiałego rycerza.

Młody wojownik mógł jeszcze ratować się ucieczką, bo Turcy byli pieszo, a ich znurzone konie trzymali nieco opodal niewolnicy; ale podobna myśl daleką była od niego, sądził bowiem, że odwaga zyska przeważne zwycięztwo.

Taka nierówna walka trwała już kilka minut; Turcy coraz z większą smiałością stawiali czoło nieustraszonemu rycerzowi, lecz w téj chwili jeden z nich postanowił przyśpieszyć koniec tak

nierównego boju i z zręcznością wszystkim wschodnim narodom właściwą, podsunąwszy się z boku, jedném trafném pchnięciem kindżała śmiertelnym ciosem ugodził szlachetne zwierzę, mogące jeszcze ocalić swojego pana. Zachwiał się rumak, padł pod rycerzem, ale on sam niemal cudem zręczności uniknął upadku i pieszo stanął znów w nowe zapasy.

Nadludzka ta odwaga obudziła niejakie współczucie a raczéj chęć, iżby pojąć mogli w niewolę tak śmiałego rycerza, tém bardziéj, że sądzili go być przywódzcą ścigającego ich oddziału. Dla tego to jeden z walczących zawołał:

— Wstrzymaj się na chwilę rycerzu, możemy się porozumiéć wzajemnie, zwłaczcza iż jesteś sam jeden przeciw dziesięciu!

— Poddajcie się, bo sam Król tuż spieszy za mną... odrzekł rycerz nieprzestawając walki.

Słowa te upewniły tém więcéj Turków i samego Wezyra, że ich przeciwnik musi być wiel-

kiéj godności i postanowili tém bardziéj ochraniać jego życie, aby następnie mógł im posłużyć w ich widokach, i udzielić bliższe szczegóły o całéj potędze sprzymierzonego wojska.

Pomimo że młody wojownik odniósł kilka ran, jednak na kilkokrotne wezwanie nie złożył broni, i postanowił raczéj zginąć w téj nierównéj walce, niż poddać się w niewolę. Chociaż siła przeciw niemu walczących nader przemagającą była i w każdym razie łatwo było odgadnąć, że musi uledz; jednakowoż względnosć jaką dlań zachowywali przeciwnicy, miała tę korzyść dla niego, że postanowili uczynić go bezbronnym. Tą myślą jednozgodnie wiedzeni, starali się powtarzanemi cięciami wytrącić mu oręż, a wtenczas opanować go przemocą fizyczną.

Ale młodzieniec obok odwagi zarówno i niepośledniéj był siły, a rękojeść szabli zdawało się że wrosła mu w dłoń, tak bowiem silnie ją

dzierżył, odbijając wszystkie cięcia zwróconych przeciw sobie jataganów.

Siła młodzieńca podoływała dotąd tak nieró wnéj walce, jednakże damasceńska szabla nie mogła dłużéj znieść cięć hartownych jataganów i klinga jéj przy saméj rękojeści odciętą została. W téj chwili rycerz jakby piorunem rażony, nie wiedział co począć, zwłaszcza że przeciwnicy natychmiast zaniechali walki i jeszcze raz wezwali go do poddania się.

Jednakże rycerz nie chciał słuchać tych wzywań i oświadczył: iż śmiercią walecznych woli zginąć, niż poddać swe ręce w pęta niewoli.

Kara Mustafa słyszący tę śmiałą mowę i podziwiając tak bezprzykładną odwagę, rozkazał złożyć broń walczącym i sam postąpił bliżéj niego.

— Młodzieńcze (przemówił łagodnie:) ja wielki Wezyr wzywam cię abyś poddał się mnie, a na brodę proroka przysięgam, że jeden włos

niespadnie ci z głowy, ani nie doznasz hańby, jakiéj spodziewasz się uledz. Takich jak ty walecznych i Turcy szanować umieją, a odtąd będziesz miał we mnie piérwszego obrońcę.

W chwili téj rozmowy, Zelima odzyskała utracone zmysły, i poznawszy swojego ziomka, rzuciła się do nóg Wezyra, prosząc, aby udarował go wolnością.

Rycerz słysząc jéj prośby w tureckim języku ponawiane, zdumiał się niepomału, że niewiasta nie jest Polką za jaką wziął ją wczasie pogoni, gdy dobiegły go wyraźne słowa ojczystą mową powtarzane, Jednakże wahając się jeszcze stał w niemem milczeniu rzucając przenikliwe spojrzenie na piękną odaliskę w kornéj postawie klęczącą.

Wezyr nieco wzruszony czułą prośbą Zelimy odwrócił się powtórnie do rycerza, zapytując go z dobrocią o nazwisko i stopień.

— Michał Odrowąż.

Zaledwo wzmówił swe nazwisko, Zelima wydawszy okrzyk największego podziwu i radości rzuciła się w jego objęcia, a z jéj piersi wydarły się mimowolne słowa w polskim języku:

Bracie!... najdroszy mój bracie! ciebież to istotnie oglądam przed sobą?

Kara Mustafa nierozumiejąc téj mowy, w jednéj chwili uniósł się okropnym gniewem na widok swéj odaliski w objęciach polskiego rycerza. Raz bladość to znów rumieniec wystąpił na jego zmarszczone lica, i w tém uniesieniu podniosłszy szeroki jatagan, obojgu postanowił zadać cios śmiertelny. Ale w tym samém momencie Odrowąż wypuściwszy z objąć swą siostrę i zdejmując hełm z głowy, ukląkł na ziemi a wznosząc ręce do nieba, śród łez biegnących po licach, mówił z uniesieniem w tureckim języku, aby tém większe w swych nieprzyjaciołach obudzić wrażenie:

— Boże! cudowny Boże!... jakże są niezbada-

ne i niepojęte wszechmocne wyroki Twoje! Toż ziściłeś dziś moje chęci, abym po tylu latach ujrzał mą siostrę, by wspólnie z nią podzielać niewolę!

Marya, którą odtąd właściwém jéj imieniem zwać będziem, klęcząc obok niego szeptała cichą łzami przerywaną modlitwę, a chwila ta była tak maiestatyczną, że zdumiony wielki Wezyr, teraz wstydził się sam przed sobą zbytniéj porywczości.

I on niewierny, chrześcjaństwa zawzięty wróg, ujrzał w sobie popęd litości, bo i on był ojcem dwóch synów, z któremi pożegnawszy się przed ucieczką nie wiedział azali jeszcze żyją w téj chwili.

Na ten widok dwojga klęczącego rodzeństwa, cudem prawie po tylu latach niewidzenia w tém miejscu znajdującego się, niemal wszyscy muzułmanie doznali wzruszenia, poczytując to za zrządzenie wyższych wyroków.

Kara Mustafa długo stał w milczeniu, patrząc z niejakiém rozrzewnieniem na tak zajmujący obraz. I on przypomniał sobie lata swéj młodości, rodziców braci i siostry, a jego serce rzadkie przystępom litości, na ten raz obudziło w niém współczucie. Z takiém wewnętrzném usposobieniem, przystąpił do młodych Odrowążów, i podając im obie ręce, wyrzekł z całą łagodnością człowieka, umiejącego czuć cierpienia bliźnich.

— Powstańcie moje dzieci, miejcie we mnie zupełną ufność, a ja starać się będę zastąpić wam miejsce rodziców!

I tuląc ich oboje do swojego łona, pocieszał dobrotliwemi słowy, że nigdy nie zawiodą się na nim.

Niedługo orszak Wezyra puścił się w dalszą drogę, i znów ponura cisza zaległa całą równinę.

KONIEC TOMU PIÉRWSZEGO.